

Łódź Odgłosy

Nr 6 (1691)

Rok I (XXXIV)

30 czerwca 1991 r.

Cena 3000 zł

Już wkrótce
nowa powieść

Skirolawki po amerykańsku

Najbogatsi łodzianie

„Nie mamy szans”

Rozmowa z Michałem Kropidłowskim, prezesem Klubu Kapitału Łódzkiego.

— Czy jest Pan najbogatszym człowiekiem w Łodzi?

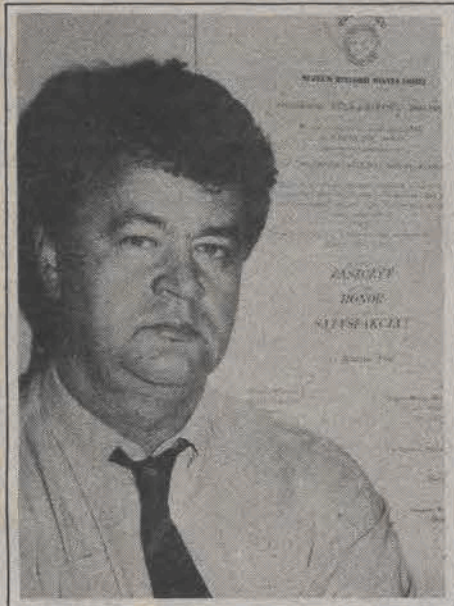
— Nie sądzę, a poza tym dlaczego ma to być takie ważne? Co to zresztą znaczy „bogaty człowiek”? Jakie kryteria przyjąć, by ocenić, czy ktoś jest najbogatszy? Kiedyś wydawało mi się, że dążenie do pieniędzy jest wspaniałe. Dziś już tak nie myślę. Pieniądze naprawdę nie są takie ważne.

— Swoją działalność zaczął Pan w 1976 roku. Czy tamten czas sprzyjał robieniu pieniędzy?

— Myślę, że nie. W latach 70. biznes jako taki jeszcze nie istniał. Można mówić co najwyżej o początkach większego rzemiosła. Kończąca Gierka była nieco lepsza – po dekreście Jaroszewicza z września 1976 roku mogły powstawać firmy polonijne. Stworzono po raz pierwszy możliwość wejścia kapitału obcego do Polski. Ja w połączeniu tych pieniędzy z polskimi raczkującymi firmami upatrywałem właśnie początków dzisiejszego dużego biznesu.

— Pan też wykorzystał tę szansę?

— Najpierw byłem właścicielem zakładu rzemiosła, później butik – produkcja i sprzedaż były połączone. I tak się zaczęło.



Fot. A. Zieliński

— Co Pana wtedy najbardziej ograniczało w działaniu?

— Przepisy, które trzeba było omijać. Można było np. zatrudniać tylko określoną liczbę osób. Dotkliwie były zmiany systemów podatkowych, od rygorystycznych po dość liberalne. W styczniu 1977 roku weszła w życie karta podatkowa, ograniczająca do 6 osób zatrudnienie oraz obrót, od którego płacono się podatki. W sumie później okazało się, że i tak była to zmiana korzystniejsza niż następne w 1979 roku.

— Pan dokładnie pamięta tamte szczegóły. Bardzo Panu dopiekiły?

— Nie tylko mnie. Do końca 1979 roku, czyli w ciągu trzech lat powstało tylko 6 firm polonijnych – to o czymś świadczy. Boom zaczął się dopiero w 1980-81 roku. Moje przedsiębiorstwo „Dampex” było pięćdziesiąt zarejestrowaną firmą w Polsce.

— Czy jako biznesmen czuje się Pan dziś lepiej niż w latach siedemdziesiątych?

— Czuję się na początku nieźle, ale dziś, gdy zaczęliśmy zmierzać do Europy – mam się nieco gorzej. Zetknięcie z Europą jest tragiczne. Nie możemy nawet wpuścić do Polski wię-

Cd. str. 4



Wyczyny kaskaderów na stadionie „Orle” podczas Pikniku Kieleckiego zorganizowanego przez „Węski Druk” i „Odgłosy”
Foto: P. Nowak

Oskarżonego powitano w sądzie brawami

Proces deprawatora

Sala nr 352, wyznaczona przez Sąd Rejonowy dla m. Warszawy na proces Jerzego Urbana, należy do ostatnich w gmachu na Lesznie, lecz tego dnia, 18 czerwca 1991 r., skupiła na sobie uwagę opinii publicznej reprezentowanej przez ponad setkę krajowych i zagranicznych dziennikarzy, fotoreporterów, kamerzystów telewizyjnych. Nie trudno było przewidzieć, że nie tylko ze względu na niecodzienny charakter oskarżenia, ale także osobę podsądnego, proces wzbudzi ogromne zainteresowanie: jedni uważają go za arcyłgarza ekipy stanu wojennego, inni pamiętają go jako czołowego publicystę „Po prostu” z października 1956 r., jeszcze inni mają przed oczami nienawistny grymas Władysława Gomułki, który wyklął Urbana ex cathedra jako nieodpowiedzialnego publicystę, wyrządzającego szkodę partii. „Klaksen” ze „Szpilek”, Jerzy Kibic z „Kulis”, Miś Uszatek albo Kłapouch z ludowych złorzeczeń, minister i rzecznik prasowy rządu, prezes Komitetu do spraw Radia i Telewizji, autor głośnego „Alfabetu” – w każdym z tych wcieleni Urban okazywał się, na swój sposób, doskonały. Perfekcyjny w działaniu jest także jako redaktor i właściciel dziennika cotygodniowego „NIE”: czasopismo, które wystartowało jesienią ubiegłego roku, przebito popularnością „Gazetę Wyborczą”, jest rozchwytywane przez czytelników. Nadał mu charakter antywałsowski i antyklerykalny, a mimo to ten opozycyjny tygodnik, przypominający swoją bezkompromisowością podziemne wydawnictwa „Solidarność”, bije rekordy powodzenia. To właśnie w nr 2 tego czasopisma, obok artykułu opowiadającego się jednoznacznie za dopuszczalnością aborcji, ukazało się zdjęcie roznieglizowanej panienki pieszczonoj niedwuznacznie przez kochanka. Zdjęcie nosiło podpis „Dziewczyna „NIE”” i było przedrukem z nr 2242 magazynu erotycznego „Penthouse”, dostępnego dziś niemal w każdym kiosku wśród dziesiątków legalnie sprzedawanych podobnych wydawnictw krajowych i zagranicznych. Dlatego rodzi się pytanie, dlaczego akurat ten obrazek zawiódł Urbana na ławę oskarżonych pod ciężkim zarzutem rozpowszechniania pornografii, a w jednym z kieleckich kościołów modlono się publicznie za sprawiedliwy wyrok w procesie deprawatora?

Oskarżony Jerzy Urban, lat 57, pochodzenia społecznego inteligenckiego, o wykształceniu niepełnym wyższym, właściciel spółki wydawniczej stawił się w sali 352 wraz ze swym obrońcą Eugeniuszem Baworowskim parę minut po wyznaczonym czasie i powitany został spontanicznymi brawami, które zagłuszyły trzask migawek dziesiątków aparatów fotograficznych, szmer pracujących kamer, skrzyp piór. Ława

oskarżonych zajęta była przez wszędobylskich dziennikarzy, którzy tutaj obrali sobie placówkę obserwacyjną i teraz niechętnie zwalniali miejsce. Kiedy Urban znalazł się w przeznaczonym dla niego kojcu, sędzia Krzysztof Sulej ogłosił decyzję sądu o wyłączeniu jawności rozprawy, co przyjęte zostało przez salę krzykami protestu i zjadliwymi uwagami przybyłych dziennikarzy. Zamieszanie trwało pół godziny, albo nawet dłużej, wezwano policję, ale osobą, która zaprowadziła porządek okazał się sam Urban wyprowadzając publiczność z sali na korytarz. Co prawda jakaś zagorzała czytelniczka „NIE” wykrzykiwała histerycznie, że nie wyjdzie, że gotowa jest siedzieć w więzieniu razem z Urbanem, ostatecznie jednak uległa jego perswazji. Trzeba przyznać, że jak na oso-

Cd. str. 3

W numerze m.in.:

◆ Konflikt w Ul
str. 5

◆ Kto i ile
nie zapłacił za
energię, gaz i ciepło?
str. 5

◆ Kat czy dobrodziej?
str. 6

◆ Reporter szuka
uzdrowienia
str. 7

◆ Można palić
– odwyk na bruku
str. 7

◆ Sławomir Pietras
żegna się z Łodzią
str. 8

◆ Dlaczego Mirosława
Marcheluk ma ładną cerę?
str. 9

◆ Kto kazał zabić?
Zagadka sprzed lat
str. 10 i 11

Firma **MARWEN**
OFERUJE
szeroką gamę
MARMURÓW
polskich i greckich
o pięknej, niespotykanej fakturze:
na ściany • posadzki • kominki
• parapety • elewacje –
z błyskawicznym terminem realizacji – w
cenie od 70 000 do 450 000 zł za 1 m²
95-020 Andros pol k.Łódź
ul. Rokicińska 148 B
tel. Łódź 13-22-79



**Proponuje konkurencyjne warunki
ubezpieczeń krajowych i zagranicznych**
Zapraszamy do naszych filii wojewódzkich:

Piotrków Trybunalski

ul. Wojska Polskiego 102 telefon 77-43

Sieradz

ul. Aleja Pokoju 11 telefon 39-86

Skierniewice

ul. Kopernika 3 telefon 42-60

**Zatrudnimy na korzystnych warunkach
pośredników ubezpieczeniowych z terenu
województwa: łódzkiego, sieradzkiego,
skierniewickiego i piotrkowskiego.**

Towarzystwo

Ubezpieczeniowo-Reasekuracyjne

„POLISA”

Oddział w Łodzi, al. Kościuszki 80/82

☎ 36-24-65, 37-65-26



● Sejm RP odrzucił (21.06.) poprawki, jakie do ordynacji wyborczej wprowadził Senat RP. W kołach zbliżonych do Belwederu otwarcie mówi się, że prezydent ordynacji tej nie podpisał. Mec. Jan Olszewski na niedzielnej (23.06.) posiedzeniu Konferencji Komitetów Obywatelskich domagał się całkowitego odrzucenia ordynacji i przyjęcia projektu, jaki w lutym wpłynął z Belwederu do Sejmu RP. W Gdańsku, po niedzielnej mszy w kościele św. Brygidy, prezydent Lech Wałęsa spotkał się z gdańszczanami. Zebrani domagali się „odchwaszczenia sejmu” oraz jego rozwiązania. Prezydent Lech Wałęsa zapowiedział, że ma dwa warianty do zastosowania, ale decyzji wcześniej nie podejmie, jak po tygodniu. W tym czasie przeprowadzi konsultacje.

● W ubiegłym tygodniu (20.06.) odbyły się rozmowy przedstawicieli Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej z przedstawicielami Ministerstwa Przemysłu. W trakcie rozmów okazało się, że wiceminister Zdzisław Miadzianek nie był przygotowany do tego typu pertraktacji. Okazało się również, że Ministerstwo Przemysłu – jak by nie było właściciel – zupełnie nie ma pojęcia o sytuacji finansowej i gospodarczej łódzkiej „Foniki”. W „Fonice” utrzymują, że do Warszawy wysłano telexy, w których zawarto wszelkie dane na ten temat. Dopiero w tych dniach zjedzie do „Foniki” delegacja ekspertów. Strajk w „Fonice” trwa!

● W środę (19.06.), po godzinie 16, młodzi anarchiści z – jak się określili – „Komórki Sytuacyjnej” zaatakowali belwedeński dziedziniec, obrzucając go puskami po piwie, butelkami po winie oraz puskami z żółtą farbą. Jedną z puszek z farbą trafiła w samochód senatora Jarosława Kaczyńskiego. Na dziedziniec belwedeński rzucano też ulotki z następującym wezwaniem: „Wyzwól teatr, wyzwól wszystko. Rewolucja w książkach. Rewolucja w samochodzie. Rewolucja w reklamie. A największym wrogiem jest twój tyłek. Podnieś go! Rusz się! Niech się coś dzieje”. Pół godziny po wezwaniu przyjechała policja, ale ze 150-osobowej grupy anarchistów nie było już nikogo. Pozostały tylko ślady ich działalności. Ponieważ anarchiści wynajmują się do takich „zadani”, mają nawet w tym celu sporządzony cennik, ciekawi nas, czy to była demonstracja spontaniczna, czy też na czyjeś zlecenie. Jeśli tak, to na czyje?

● Tragiczny wypadek zdarzył się pod Tychami. Wykoleił się pociąg pośpieszny. Dwie osoby poniosły śmierć, ponad 20 rannych zabrano do szpitala. Powodem katastrofy były wadliwe skrecone szyny po remoncie i brak znaku nakazującego zwolnienie jazdy do 15 km na godzinę. Pociąg jechał z prędkością 120 km na godzinę.

● Na skrzyżowaniu ulicy Adama Mickiewicza i Stefana Żeromskiego w momencie mijania się dwu tramwajów urwała się lina trakcyjna, wpadła do tramwaju przez okno i uciła kobiecie głowę. Są podejrzenia, że powodem tej makabrycznej katastrofy było niedbalstwo odpowiedzialnych za stan sieci trakcyjnej.

● Mamy już droższe telefony. 3 minuty rozmowy kosztuje teraz 600 zł (było 300 zł), a koszt abonamentu 30 000 zł (było 8 000 zł). IBL z „Gazety Wyborczej” postanowił zainteresować tą decyzją Urząd Antymonopolowy, gdyż Poczta Polska zupełnie nie liczy się ze swoimi klientami. A nam coś się wydaje, że Poczta Polska znalazła znakomity sposób na poprawienie stanu telefonów. Ludzie nie będą mieli z czego płacić, zabierze się im telefony i da się tym, którzy będą mieli pieniądze.

● Naczelnik Urzędu Telekomunikacyjnego Łódź Centrum wyjaśnił, że na czas „Interfashion” wypożyczono sobie – bez wiedzy zainteresowanych – tylko 5 numerów z ulicy Sobolowej i Łososiowej. Należałoby się domyślać, że naczelnik Zbigniew Romanowski daje nam do zrozumienia: po co ten cały krzyk? Tylko 5 numerów! Naszym zdaniem o 5 numerów za dużo. Jeśli już Urząd Telekomunikacyjny musi jednym zabierać, a innym dawać, to może wzięby swoje numery i wypożyczył handlowcom. W końcu tylko na tydzień.

● W Sieradzu ukazuje się tygodnik województwa sieradzkiego „GONIEC”. Wydaje Sławomir Górski z Drążna, ten sam, który chciał kupić „Nad Wartą” – jak się można domyśleć – dla prowadzenia kampanii wyborczej senatora Andrzeja Tomaszewicza. Naczelnym redaktorem jest Bohdan Dmochowski. W 2 numerze „GONCA” Bohdan Dmochowski opublikował wywiad z senatorem Andrzejem Tomaszewiczem.

● W Łodzi zaczął ukazywać się tygodnik „ROLA”. Wydawcą jest PPHU „Fish” Marek Lech. Redaktorem naczelnym Adam Kowalczyński. Wydanie nowego pisma uczczono bankietem. Z koł zbliżonych do „ROLL” dowiadujemy się, że może jeszcze ukazać się 2 numer i na tym koniec. Szkoda. Przez grzeczność nie pytamy, czy będzie stypa?

● W Łodzi SdRP zawiesiła na czas wakacji wydawanie „Tygodnika Socjaldemokratycznego”. Pismo ma się ukazywać ponownie od września 1991 roku.

B. M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”
Redaktor naczelny Mirosław Kułś
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.
90-113 Łódź ul. Ślenkiewicza 3/5
36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Zycie w Polsce zdaje się toczyć dwoma torami. Jednym mkną przyspieszony ostatnio polityczny parowóz dziejów. Drugim posuwa się mozolnie dreżyna z wagonikami pełnymi pasażerów, którzy zajęci swoimi tobołkami, z obojętnością przysłuchują się świstom, gwizdom i szumom pędzącego obok pociągu.

Pan Prezydent na liście ze swoim weto wobec ordynacji wyborczej stwierdził, iż podejmuje taką decyzję, bo uchwalony przez Sejm projekt jest niejasny, zagmatwany i niezrozumiały przez społeczeństwo. Być może i tak jest, tyle tylko, że to społeczeństwo nowej ordynacji nie widziało na oczy, zatem nie może rozumieć, albo też nie rozumie intencji parlamentu. Natomiast rzeczywiste może mieć kłopot ze zrozumieniem gry, jaka się toczy od paru tygodni między Belwederem i Wiejską.

Ta taktyczna szarada pod tytułem „przyspieszenie przyspieszenia” stała się przedmiotem roztrząsań i polemik wąskich elit władzy. Mylą się więc jej autorzy sądząc, że ktokolwiek poza politykami, działaczami partyjnymi i publicystami zainteresowany jest poważnie tą gabinetową dyplomacją. Wprost przeciwnie. Publikowane ostatnio listy rankingowe osób działających na niwie państwowej wskazują na wzrastającą w opinii publicznej niechęć do głównych architektów formuły przyspieszenia. Z większą sympatią przypatrujemy się niekonwencjonalnym a wielce użytecznym akcjom Jacka Kuronia niż iście pytyjskim postawom i minom rzeczników oraz innych mężów stanu.

Wspomniane „przyspieszenie przyspieszenia” ma przecież swoją łatwą czytelną fabułę, której głównym wątkiem jest pomysł, aby przedstawić Sejm jako ciało bez społecznego poparcia („efekt skompromitowanego kontraktu”), które utrudnia i hamuje procesy demokracji. Polityka „kija i marchewki” stosowana wobec parlamentu przyniosła jednak efekty. Po liście Pana Prezydenta odrzucającym pierwszy projekt Sejm zebrał się natychmiast i w parę godzin podjął decyzję z in-

O co właściwie chodzi Lechowi Wałęsie?

Możliwe że będziesz już znał odpowiedź na powyższe pytanie, Czytelniku, czytając te słowa. W poniedziałek, gdy je piszę, sytuacja wciąż nie jest jasna, choć dziesiątki publicystów głowią się nad motywami, które skłoniły prezydenta do „przyspieszenia przyspieszenia”. Jerzy Giedroyc, zasłużony redaktor paryskiej „Kultury”, indagowany przez „Wprost” (25) najwyraźniej jeszcze przed ostatnimi wydarzeniami, kreśli obraz prezydenta-nieudacznika:

„Niestety, w naszym kraju wszystko stoi na głowie. Przecież scenariusz powinien być zupełnie inny: wybory parlamentarne – konstytucja – wybory prezydenckie. Tymczasem mamy teraz w Belwederze pocziwego pana Wałęsę, który co chwilę robi niesłychane głupstwa. Jego namawianie: „przyjeżdżajcie i robcie interesy” to kompletne głupstwo, przejaw nieznajomości realiów rządzących w świecie biznesu, a nawet nieznajomości kraju. Przecież w Polsce nadal nie funkcjonują telefony, są ogromne trudności z otwarciem konta, a w administracji panują komunizmy. Ludziom brakuje zapatu i wiary w sukces, tymczasem pan Wałęsa zajmuje się głupstwami. Jego wojaże po świecie są niesłychanie kosztowne, za to mało efektywne i często dla Polaków kompromitujące. Do Paryża na przykład miało przyjechać 40 osób, takie były ustalenia, tymczasem zjawili się znacznie więcej i nasz ambasador musiał dokonywać bardzo nieprzymiennych zabiegów, aby gospodarze pokryli koszty pobytu prezydenckiej świty. Inny przykład to słynne przyjęcie w Londynie – w myśl zasady „boso ale w ostrogach”.

Tymczasem nasz „pocziwy pan Wałęsa” zakończył już okres podróży, i wziął się – zgodnie z wcześniejszą obietnicą – za porządkowanie kraju. Wziął się tak ostro, że komentator „Prawa i Życia” (25) Roman Kruszwski uznał, iż jest to... zamach czerwcowy:

„Ostatnie posunięcia prezydenta Rzeczypospolitej (weto wobec ordynacji, propozycja nadzwyczajnych uprawnień dla rządu, inicjatywa powołania specjalnej policji gospodarczej) można nazwać zamachem czerwcowym. Czerwiec 1991 od maja 1926 różni, oczywiście, sposoby postępowania animatorów wydarzeń. Akcja Józefa Piłsudskiego była rzeczywistym zamachem stanu, działaniem poza prawem i wbrew prawu. Postępowanie natomiast Lecha Wałęsy mieści się w granicach prawa i prezydenckich uprawnień. Cel jest jednak taki sam jak przed 65 laty: uzyskanie przewagi władzy wykonawczej (prezydenta) nad ustawodawczą (parlamentem).

(...) Wszystkie te poczynania prezydenta, które nazwał zamachem czerwcowym, stawiają na porządku dziennym pytania o kształt przyszłego systemu politycznego, o kształt demokracji. Lech Wałęsa – jak można wnioskować – opowiada się za wzmocnieniem władzy wykonawczej, za uzyskaniem przez prezydenta czołowej pozycji w państwie. Jego obecne działania mogą wywrzeć wpływ na zapisy

Sejmowy Thriller

nowacjami ordynacji, które przedtem, przez wiele miesięcy, przyjęte być nie mogły. Ta niekonsekwencja wywołała wątpliwość w racje działań ustawodawczych najwyższej władzy w Rzeczypospolitej. I o to chodziło. Jakże może mieć autorytet Sejm jeśli sam obala przegłosowane przez siebie uprzednio ustawy?

Druga debata nad poprawkami Senatu, który zmniejsza większość poparł żądania Belwederu, nie świadczy, iż posłowie jakby zrozumieli o co toczy się gra i dwiema trzecimi głosów odrzucili senackie propozycje. „Chodzi tu o serwilizm i posłuszeństwo, jakim miałby się parlament odznaczać” – powiedział Bronisław Geremek. Co dalej? Minister z Kancelarii Prezydenckiej otoczył, po głosowaniu przez napierający tłum dziennikarzy odczytał z kartki oświadczenie zaczynające się od słów: „Wszystko w tym momencie stało się jasne”, choć przecież „w tym momencie” akurat „wszystko” stało się szczególnie ciemne. Wiele zagadkowo komentował też decyzję Sejmu Andrzej Drzycimski. Ale jedno zdanie z tego komentarza warto jest uwagi. Otóż rzecznik stwierdził, iż ostateczna decyzja Pana Prezydenta będzie zależała „od odbioru społecznego obecnych wydarzeń”.

Jaki jest więc ów społeczny odbiór? Po pierwsze, jak pisałem wyżej, nikły. Bo też wszyscy, którzy pozwalają się na „naród” i „społeczeństwo” mają głównie na uwadze ustalenia i taktiki przyjęte na nie najliczniejszych zebraniach partyjnych i gabinetowych posiedzeniach. Naród i społeczeństwo zajęte są krzątaniem wokół swoich trudnych spraw i ciężko im zrozumieć dlaczego propozycja, aby w świątyniach i innych miejscach kultu nie uprawiano polityki i propagandy przedwyborczej ma być zamachem na autonomię Kościoła.

Po drugie, „społeczny odbiór” (że pozwolę sobie

na taką personifikację) nie wie, kto w rzeczywistości tworzy politykę w Belwederze. Listy Pana Prezydenta do Sejmu nie rozstrzygają tego pytania, bo przegłoszone są komentarzami i interpretacjami polityków jednoznacznie i powszechnie kojarzonych z określoną opcją partyjną. Co jakby kłóci się z oświadczeniami Lecha Wałęsy, że chce być prezydentem wszystkich Polaków.

Po trzecie, spór o krzyżak na liście wyborczej jest w istocie sporem nie o to czy będziemy mieć w przyszłości „silny rząd i silny parlament”, tylko o to, jakby umieścić w Sejmie następnej kadencji posłów, których wypytują partie, a nie wyborcy. Nikt nie zaprzecza, że dwa lata funkcjonowania Rzeczypospolitej ze wszystkimi jej instytucjami to wystarczający okres weryfikacji w zbliżającym się głosowaniu. Chcemy stawiać na ludzi, którzy sprawdzili się w dotychczasowym działaniu, a nie na partie, które raz na tydzień zmieniają swoje programy i raz na miesiąc sojusze, a w wolnym czasie wyrzucają swoich „charyzmatycznych” przywódców z gabinetów.

Po czwarte, nieprzekonującym staje się argument o kontrakcyjnym skądinąd Sejmie. Jakby nie patrzeć, włączając i Senat, liczby tych, którzy nie poparli poleceń Pana Prezydenta nie zgadzają się z kontraktem z czerwca 1989 roku. Chyba, iż przyjmujemy interpretację, iż obecny Sejm i Senat, poza paroma sprawiedliwymi, składa się z katolewicy, sił postkomunistycznych i byłej PZPR. Gdzie zatem umieścić w tej konfiguracji Tadeusza Fiszbacha, który z godną zastanowienia konsekwencją popierał belwedeński projekt?

Co teraz robi Pan Prezydent? Suspens nie słabnie, a jakie będzie rozwiązanie zależy od autorów belwedeńskiego thrilleru. Gdy piszę te słowa zasiadają właśnie do kolejnego odcinka...

Grzegorz Gazda



przyszłej konstytucji, na wzajemne usytuowanie naczelnych organów władzy. Idzie w ten sposób – stosując jednak zgodne z prawem metody – w ślady Piłsudskiego. Sformułowana pod patronatem Komendanta konstytucja kwietniowa z 1935 roku na czele państwa postawiła odpowiedzialnego tylko przed Bogiem i historią prezydenta.”

Podobne, chociaż łagodniej wyrażone przypuszczenie co do zamiarów Lecha Wałęsy wysuwa komentator „Tygodnika Powszechnego” (24) Roman Graczyk:

„Możliwe (...) że prezydent zechce uniemożliwić przeprowadzenie wyborów w jesieni. Wiarygodny Sejm byłby potrzebny prezydentowi tylko wtedy, gdyby był on zwolennikiem jakiejś formy równowagi władz. Wprawdzie prezydent wspomina w swym liście o potrzebie zbudowania w Sejmie trwałego oparcia dla rządu, ale jak dotąd praktycznie nie ujawnił on skłonności do współpracy z silnymi i wiarygodnymi partnerami – raczej przeciwnie. A kontraktowy Sejm, tym bardziej po papieskiej krytyce pod jego adresem, można byłoby już zupełnie lekceważyć. Miałoby to być dla Lecha Wałęsy – prezydenta wybranego w wolnych wyborach – rozwiązaniem negującym.

Nie sposób wreszcie wykluczyć, że zawarty w korespondencji zarzut o „odmowie współdziałania” jest dopiero wstępem do oskarżenia Sejmu o zablokowanie normalnego funkcjonowania instytucji Państwa i – w konsekwencji – rozwiązania Izby. Wtedy prezydent musiałby wręcz zacząć rządzić dekretemi, do czego dzisiaj nie ma prawa.”

Mamy więc oto dwie hipotetyczne drogi do celu, jakim jest wysunięcie prezydenty na czoło struktury władzy: albo dalsze odkładanie wyborów i radykalne osłabienie dotychczasowego Sejmu, albo też – rozwiązanie parlamentu, pod pretekstem, iż nie chce on współdziałać z prezydentem dla dobra kraju. Ponieważ ten drugi sposób wydaje się coraz bardziej radykalny, autorzy „Polityki” (25) Jerzy Baczyński i Stanisław Podemski zastanawiają się czy jest on – w świetle obowiązującego prawa – możliwy do przeprowadzenia. Ich odpowiedź jest w zasadzie negatywna:

„W ustawie konstytucyjnej są postanowienia, pozwalające podjąć desperacką, bo z góry przegraną walkę z Sejmem. Otóż głosi się np. pogląd, że ponieważ ustawa zasadnicza pozwala prezydentowi na wydawanie rozporządzeń i

zarządzeń na podstawie ustaw i w celu ich wykonania, to może on na podstawie konstytucji właśnie wydać... ordynację wyborczą. Jest to błąd tak horrendalny, że oblewają zań już na drugim roku prawa. Przywołany to bowiem przepis dotyczy wykonywania tzw. delegacji ustawowych przez prezydenta, zawartych w poszczególnych ustawach (...) a nie daje mu żadnego prawa do wydawania antykonstytucyjnych rozporządzeń, gdy spotka trudne do przezwyciężenia różnice zdań w sporze z parlamentem.

W sprawie ordynacji wyborczej drogę tę zamyka ostatecznie i stanowczo art. 102 konstytucji: „Sposób zgłaszania kandydatów i przeprowadzania wyborów posłów, senatorów oraz prezydenta określa ustawa”.

Z ordynacją wyborczą konstytucja zresztą obchodzi się jak z jankiem. Nawet w okresie stanu wyjątkowego nie może być ona zmieniana (podobnie zresztą jak i sama konstytucja). Panikarze już zastanawiają się czy ten gorący spór nie przyniesie właśnie stanu wyjątkowego i zawieszenia konstytucji. Otóż jest to nonsens nawet w tej przyczynie, że stan wyjątkowy chroni Sejm przed rozwiązaniem, nawet w przypadku upływu kadencji Sejmu „ulega ona przedłużeniu na okres trzech miesięcy po zakończeniu stanu wyjątkowego”.

Jest też w ustawie konstytucyjnej kolejna pułapka (ale pozorna) przepis pozwalający rozwiązać Sejm, gdy podejmie uchwałę „uniemożliwiającą prezydentowi wykonywanie jego konstytucyjnych uprawnień” w dziedzinie ochrony suwerenności, bezpieczeństwa, przetrwania państwa i samej konstytucji też.

Stęgnięcie po tę normę w sporze, mieszczącym się w granicach konstytucji byłoby oczywiście nadużyciem, na które Sejm mógłby odpowiedzieć próbą postawienia prezydenta przed Trybunałem Stanu za pogwałcenie ustawy zasadniczej. W imię dobra kraju nie może nawet dojść do dyskusowania takiej możliwości w parlamencie i proszę wierzyć, że z przykrością przypominamy te, oby zawsze teoretyczne, możliwości.”

Niestety, dotychczasowy rozwój wypadków (ostatnio każdy dzień przynosi nowe) świadczą o tym, że te możliwości mogą nie być jedynie teoretyczne, zaś autorom „Polityki” (i, oczywiście, nie tylko im) może być jeszcze bardziej przykro.

AG

W kościele modlono się o sprawiedliwy wyrok w procesie Jerzego Urbana

Cd. ze str. 1

bę oskarżaną bądź co bądź o demoralizowanie maluczkich, deprawator zachował się co najmniej kulturalnie: tryskał dowcipem, rozdawał autografy i uciszał rozbudzone emocje.

Zaskakująca decyzja sądu o wyłączeniu jawności rozprawy sprawiła, że nawet dziennikarze programowo nieprzychylni Urbanowi zmienili swoje nastawienie: obóz jego przeciwników stopniał niemal do niczego. Dostrzegli oni bowiem w oskarżonym nie tyle deprawatora, obrażającego z rozmysłem dobre obyczaje, co odważnego publicystę z opozycyjnego tygodnika, któremu usiłuje się wytrącić pióro z dłoni i zamknąć usta. Ta jednoznaczna reakcja zgromadzonych, podobnie jak wcześniejsza próba wniesienia Urbana do sali rozpraw na ręce stanowi jeszcze jeden dowód na to, jak dalece oskarżenie redaktora „NIE” o rozpowszechnianie pornografii rozmiąga się z odczuciami ludzi obserwujących z zakłopotaniem rozwój sytuacji politycznej w Polsce. Dla nich nie jest bowiem tajemnicą, że proces Urbana ma jeśli nie charakter, to wyraźny kontekst polityczny.

Dlatego nie dziwiły mnie krzyżujące się w korytarzu sądowym, wypowiedzi z tłumem:

– Za moich czasów, w latach sześćdziesiątych, to jak pamiętam sądy orzekały według wskazówek biura politycznego?

– A teraz kto rozkazuje?

– Nie wiem. Jaki rząd, taki sąd!

– A pan myśli, że 45 lat komunizmu, to nie wywarło wpływu na psychikę ludzi. Sprzedawali swoje przekonania za takie czy inne stanowisko, taki czy inny dyplom i to już nam zostało we krwi. Trzech pokoleń trzeba, aby to wypełnić.

Kiedy Urban zniknął za szczerne zamkniętymi drzwiami, pilnowanymi dodatkowo przez strażnika, aby to, co dzieje się we wnętrzu nie kusiło podglądaczy, na korytarzu rozgorzały dyskusje o istocie demokracji.

Satyrzyk współpracujący z Marcinem Wolskim, oświadczył:

– Urban się nie zmienił, to jest właśnie powód do szacunku, dlatego popieram go w tym procesie, chociaż w „NIE” nigdy bym się nie wydukał. Zbyt wielką różnicą rodowodów. Ale w krajach demokratycznych takie sprawy są jawne.

Krzysztof Teodor Toeplitz, wezwany do sądu telegramem, w charakterze biegłego, czego już w depeszy nie zaznaczono, stwierdził jednoznacznie:

– Myślę, że sąd bardzo sobie zaszkodził. Decydowanie o utrudnieniach w rozprawie dlatego, że Urban dostał oklaski, to oczywiście lipa, chodzi o coś zupełnie innego.

Zasadą przyjętą w demokratycznych państwach jest proces publiczny. „Jawność” głosi Komentarz prof. prof. Kalinowskiego i Siewierskiego do „Kodeksu postępowania karnego” – jest jedną z najistotniejszych gwarancji prawa do obrony.

Konsekwencją zasady jawności jest prawo do zamieszczania w prasie sprawozdań z rozprawy. Proces przy drzwiach zamkniętych naraża dziennikarza, który pisze o sprawie, na odpowiedzialność karną. Grozi mu nawet rok pozbawienia wolności. Poinformowała o tym pani rzecznik sądu na zaimprovizowanej konferencji prasowej. Do tajemnicy zobowiązany jest także oskarżony.

Uchylenie jawności rozprawy jest dobrym

prawem sądu. Można je zarządzić, jeżeli „jawność postępowania mogłaby obrazić dobre obyczaje, wywołać niepokój publiczny albo ujawnić okoliczności, których zachowanie w tajemnicy jest niezbędne ze względu na bezpieczeństwo Państwa lub inny ważny interes publiczny”. W gwarze, który podniósł się na sali, po ogłoszeniu decyzji o uchyleniu jawności, nie dosłyszalem motywacji sędziego, nie ulega jednak wątpliwości, że „niepokój publiczny” był skutkiem zarządzenia o utajeniu postępowania, nie powinien więc być uzasadnieniem tej decyzji. Urban, który wykorzystując przerwę, na krótko pokazał się na korytarzu, sformułował swoje spostrzeżenie:

– Przypuszczam, że sąd mógł uznać, iż przymuszenie mu na ręce przez prasę jest rzeczą groźną wymiarów sprawiedliwości.

Był spocony, na sali rozpraw zamknięto okna. Dowiedziałem się potem, że grupa nie-

klopedia prawa PWN”: „pisma, druki, wizerunki i inne przedmioty mające na celu podniecenie pobudliwości płciowej. Przy ocenie czy dane pismo, druk itp. ma charakter pornograficzny, w istotny sposób uwzględnić należy wolę sprawcy, z samego bowiem dzieła wynika czy autorowi chodziło przede wszystkim o stworzenie dzieła sztuki, czy też o wywołanie podniecenia płciowego”.

Podobnie określa pornografię prof. Igor Anrejew, którego komentarz do „Kodeksu karnego” dostrzegłem na stole sędziowskim przed uchyleniem jawności rozprawy.

Ale pornografia, ścigana w Polsce tak wybiórczo, stanowi, jak się wydaje, nie tyle przedmiot, co dalekie tło tego procesu.

Podczas kolejnej przerwy Jerzy Urban wyjął swoje odczucia mniej więcej tymi słowami:

– Mam wielką satysfakcję polityczną z dzisiejszego procesu. Zarzucano mi, że uczestniczyłem w ekipie politycznej, która organizowa-

Proces deprawatora

zadowolonych obserwatorów procesu, przeniosła się na ulicę wznosząc okrzyki niepoehlebne dla sądu. Próbowano go pytać, co dzieje się na rozprawie. Oświadczył z ironią:

– Mogę mówić, co się nie działo: nie torturowano mnie, nie obrażano, nie bito.

Prokurator Stefan Szustakiewicz, mój kolega z ławy uniwersyteckiej (podobnie zresztą jak mecenas Eugeniusz Baworski), którego zapytałem o atmosferę na rozprawie, odparł:

– Proces objęty jest tajemnicą, nie mogę mówić poza tym, że Urban zachowywał się elegancko jako człowiek. Wysoka kultura.

Przyznał także, że jako oskarżyciel czuje się osamotniony.

Wobec takiej tajemniczości, sprawozdawca może snuć tylko domysły, co do przebiegu sprawy i jej charakteru. Z korytarzowej giedy dowiedziałem się, że prokuratura wszczęła śledztwo, kiedy jeden z byłych pracowników telewizji nadesłał do urzędu zdjęcie z „NIE” pomagając się zajęcia stanowiska wobec osoby, która dopuściła do druku tę publikację. Tygodnik podpisany był nazwiskiem Urbana, jako redaktora naczelnego, co dla skarżącego nie stanowiło chyba tajemnicy.

Można się domyślać, że prokuratura powołała na biegłych seksuologa Zbigniewa Lwa-Starowicza oraz doc. Jacka Hołdówkę z Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Najprawdopodobniej obaj ci specjaliści wydali opinię po myśli urzędu prokuratorskiego, gdyż obaj zostali wezwani na rozprawę, co zostało uwidocznione na wokandzie. W jaki sposób uzasadnili swą opinię o pornograficznym charakterze publikacji w „NIE” nie wiadomo, stanowi to tajemnicę sądu. Poglądy doc. Zbigniewa Lwa-Starowicza można przynajmniej wydedukować. Przez pornografię, czemu dał wyraz w swej książce „Seks partnerski”, rozumie on „wydawnictwa mające na celu wyzwolenie podniecenia seksualnego”. Zawodność tego kryterium jest oczywista, skoro znam ludzi, którzy ze wstrętem odpychają wszystkie publikacje biegłego uważając je za pornograficzne.

Szerzej definiuje pornografię „Mała ency-

la procesy polityczne przy drzwiach zamkniętych, tamta wolność słowa. Jest dla mnie wielką moralną satysfakcją, że po dwóch latach funkcjonowania rządu „Solidarności” obserwuję jakby nawrót do tych praktyk. To przecież jest wielka rehabilitacja formacji, w jakiej działałem.

W stronę mówiącego wyciągnęło się dziesięć mikrofonów.

Urban zauważył błyskotliwie:

– Kiedy byłem rzecznikiem prasowym rządu, byłem również otoczony prasą, ale zachowywała ona większy dystans, wobec czego mogłem oddychać.

Był zmęczony, niemal przyduszony przez dziennikarzy, którzy z gwaru sądowego korytarza usiłowali wyłowić docierające do nich pojedyncze słowa:

– Redaguje pismo polityczne, natomiast politykiem więcej być nie chce. Uważam, że, po pierwsze, byłem znakiem firmowym pewnej ekipy i pewnej epoki i pragnę nim pozostać. Po drugie, nasza przegrana miała charakter historyczny, nieodwracalny i że tak powiem nawroty personalne nie mają sensu.

Na rozprawę nie stawili się Zbigniew Lwa-Starowicz oraz Zygmunt Kalużyński, ustanowiony również biegłym z inicjatywy oskarżonego. Ich nieobecność uniemożliwiła dalsze postępowanie dowodowe, wobec czego sąd rozprawę przerwał wyznaczając nowy termin.

Jedno jest pewne: postawienie Urbana przed sądem bardziej jest satysfakcjonujące dla oskarżonego niż dla wymiaru sprawiedliwości. Niepomna tego prokuratura przygotowuje nowy proces: w korytarzach sądu mówiło się, że tym razem redaktor „NIE” oskarżony będzie o obrażanie państwa, narodu i uczuć religijnych.

Zapytany o swoje szanse na uniewinnienie oskarżony powiedział z humorem:

– Słyszałem, że w kościołach odbywają się modły o sprawiedliwy wyrok. Nie mogę wypowiedzieć się w imieniu Pana Boga, ale być może tak już jest on znudzony głosami dewotek, że wysłucha innych głosów i wyrok, który zapadnie, rzeczywiście będzie sprawiedliwy.

Konrad Frejdlch

UWAGI SCEPTYKA



Mój sąsiad pan Piotr jest człowiekiem spokojnym i statecznym, przykładnym mężem i ojcem, ale przy wszystkich swych zaletach ma pewną słabość charakteru – nadmiernie przejmując się rozmaitymi wydarzeniami publicznymi. Skrupulatnie wysłuchuje relacji z obrad Sejmu i Senatu, w sposób jednostronny dyskutuje z pojawiającymi się na ekranie telewizora reprezentantami sfer władzy, to znaczy on ich słyszy, a oni jego nie, śledzi także uważnie co dzieje się w łódzkiej magistracie i Radzie Miejskiej. Jest zatem, można powiedzieć, pożądanym typem aktywnego obywatela, który stara się rozumieć co dzieje się w polityce oraz mieć do tego własny stosunek.

Kiedy jednak coś szczególnie wzburzy pana Piotra, przestaje wystarczać mu monologowanie przy telewizorze lub nad gazetą, nie zadowolając go słuchacz w osobach żony i dwójki dzieci w wieku licealnym, zresztą nie podzielający politycznych pasji męża i ojca i wtedy sąsiad przychodzi do mnie. Lubie pana Piotra i zwykle nie potrafie uchylić się od wspólnych dywagacji na poruszający go temat, z których to rozważań literalnie nic nie wynika, ale sąsiad uważa, że jak razem ponarzekamy, to powinno nam ulżyć, przynajmniej na jakiś czas.

Kilka dni temu pan Piotr stanął w drzwiach mego mieszkania i wyraźnie zdenerwowany, wymachując „Expressem Ilustrowanym” oświadczył – panie, pogłupieci już zupełnie, nie patrz pan co się dzieje, znowu zmieniają nazwy ulic i to tak: św. Franciszka na św. Franciszka z Asyżu, św. Antoniego na św. Antoniego Padew-

skiego, a św. Teresy na św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Czyżby ci, co takie decyzje podejmują byli udziałowcami firmy wytwarzającej tablice z nazwami ulic?

Dyskusji z sąsiadem nie podjąłem, wymówiłem się pilnymi zajęciami domowymi, ale rzecz na tyle wydała mi się interesująca, że postanowiłem dowiedzieć się czegoś bliżej na ten temat. Jeden z moich szkolnych kolegów jest radnym miłościwie nam panującą Radą Miejskiej i gdy pokazał mi stosowne komunikaty oraz projekty uchwał wraz z uzasadnieniami, zadumałem się nad tym czego to ludzie nie wymyślą.

Wszyscy święci Rady Miejskiej

Komunikat opatrzone pieczętkami: dwukrotnie o treści „Komisja ds. Nazewnictwa Ulic i Placów oraz Budynków Użyteczności Publicznej Rady Miejskiej w Łodzi” i raz „Przewodniczący Komisji ds. Nazewnictwa Ulic i Placów oraz Budynków Użyteczności Publicznej Rady Miejskiej w Łodzi – mgr Lucjan Muszyński” przekonuje czytelnika, że „biorąc pod uwagę fakt, że wśród świętych o imieniu Antoni, Franciszek i Teresa figuruje kilka, a niekiedy kilkanaście osób, trzeba stwierdzić konieczność dokładniejszego sformułowania nazw”.

Szczęśliwi ci radni łódzkiej Rady Miejskiej, skoro nie mają innych ważniejszych spraw do uchwalania niż to, aby się ludziom święci patroni ulic nie mylili. Szkoda tylko, że komisja nie wpadła na pomysł, aby ulica nazywała się na przykład „Wszystkich Świętych Franciszków” (było ich chyba ośmiu) lub „Wszystkich Świętych Antonich”. No bo w czym ma być lepszy św. Antoni zmarły w Padwie w 1231 r. karnością od św. Antoniego Wielkiego Tebańskiego, który przez 20 lat był kuszone przez szataną na pustyni i zmarł w Egipcie w 356 r. A że świętych Franciszków najlepszy byłby św. Franciszek Salezy, autor dzieła „Wprowadzenie do życia dewocyjnego” (1608 r.), którego lekturę gorąco zalecam Komisji ds. Nazewnictwa i całej Radzie Miejskiej, uchwalającej decyzje o zmianach nazw. Będzie

jak znalazł na dalszy ciąg kadencji i żadnego radnego, podobnie jak św. Antoniego na pustyni, diabeł do niego zło nie namówi.

Przy okazji od mojego kolegi radnego dowiedziałem się o jeszcze jednej sprawie, która wydaje mi się z pewnością względów ważniejszych niż dewocyjne pomysły Komisji ds. Nazewnictwa, dla jednych zbędne, dla innych konieczne, a dla mnie po prostu groteskowe. Oto nowo projektowanej uliczce w rejonie ul. Ireny (wysoka Rado Miejska – dlaczego nie św. Ireny?) na Chojnach zaproponowano nadanie imienia Mariana Pie-

chala, jednego z wybitnych poetów łódzkich, zmarłego w 1989 r.

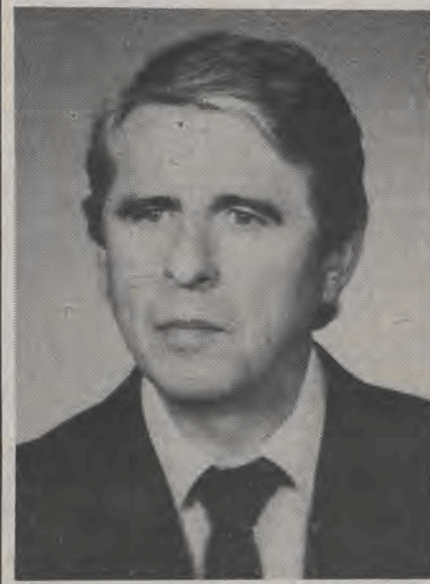
I wtedy – relata réfero – wywiązała się dyskusja: jeden z radnych, reprezentujący Porozumienie Centrum, oświadczył, że on słyszał, że Piechal był kierownikiem literackim Teatru 7.15 i że pozytywnie odnosił się do Polski Ludowej. Przewodniczący Komisji Nazewnictwa skłonny był poecie wybaczyć ten błąd życiowy, ale kiedy inny radny, jego kolega z ŁPO, poparł wniosek, aby kandydaturę Piechala podejrzanego o niewłaściwe sympatie polityczne odrzucić, skwapliwie zgodził się z taką argumentacją i w ten sposób w Łodzi ulicy upamiętniającej Mariana Piechala nie ma i pewnie nie będzie. Podejrzewam, że poeta w grobie się przewraca, że go taką miarą zamierzono.

Ciekawy jestem co o tym sądzi szacowne grono łódzkich polonistów, bowiem jak słyszałem pan przewodniczący Komisji pracownicy koncypujące nowe nazwy ulic jest nie tylko absolutem, ale i podobno był pracownikiem naukowo-dydaktycznym Wydziału Filologicznego UŁ. A może nie mam racji, wstydzę się nie ma czego, bo zastosowana przez pana przewodniczącego i niektórych radnych metoda wartościowania poetów jest najnowszym osiągnięciem myśli humanistycznej?

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Zygmunt Skonieczny



Pochodzi ze wsi, lecz początkowo, oszołomiony perspektywą cywilizacyjnego awansu, wypierał się swego rodowodu, zacierał ślady, aby wreszcie, w pełni świadomie, wrócić do korzeni.

Szkółę podstawową ukończył w rodzinnej wiosce Świnice Warckie, gdzie ojciec prowadził sklep. Potem trafił do Liceum Pedagogicznego w Łęczycy, chciał być nauczycielem wf, interesował się sportem, był nawet sędzią piłkarskim. Wiedział, że na tym nie poprzestanie, prowadził korespondencję na tematy sportowe z połową świata, ale rodzice powiedzieli krótko: uczyć się możesz, jednak grosza nie dołożymy. Ojciec dodał jeszcze: co masz w głowie, tego nikt ci nie odbierze.

Z tzw. nakazu podjął pracę jako nauczyciel szkoły podstawowej na Bałutach, mieszkał w hotelu dla pedagogów. Norma wynosiła 30 godzin tygodniowo, na zajęcia trzeba było robić konspekty, uczył wszystkiego dzieci w klasach początkowych a marzył o wf.

W 1957 r., kiedy pękły rygory wynikające z nakazu pracy, podjął studia na wydziale historycznym Uniwersytetu Łódzkiego. Miał szczęście zetknąć się z prof. Józefem Dutkiewiczem i nawet rozmyślał o karierze naukowej. Z domu nie dostawał pomocy, ale miał akademik i stypendium, udzielał korepetycji. Był najlepszym w pong-ponga i brydza.

Jednym z jego uczniów był syn dyrektora dubingu. Dzięki tej znajomości dostał po studiach etat w tej instytucji, opanował montaż i zaczął pracować jako reżyser. Natychmiast pomyślał o kolejnych studiach, tym razem u prof. Bolesława Lewickiego na filmoznawstwie. Dyplom otworzył mu drogę do Wytwórni Filmów Oświatowych – otrzymał etat asystenta reżysera. Pracował pod kierunkiem przedwojennego jeszcze mistrza, Janusza Stara. Ten zasłużony reżyser oświatowy nauczył go przewagi nad operatorem.

W 1970 r. stanął przed perspektywą samodzielnego robienia filmów. Spośród trzech tematów, które zaproponowała mu wytwórnia (wszystkie dotyczyły historii ruchu robotniczego) wybrał Marcina Kasprzaka, ta postać wydała mu się najsympatyczniejsza.

Zrobił łącznie ponad 50 filmów, w tym fabularne, takie jak „Placówka” czy „Latarnik”, ale za najważniejsze swoje dzieło uważa tryptyk „Chłopski los”. Zaczął kręcić film w 1981, kiedy wieś przeżywała okres buntów, strajków głodowych i nadziei związanych z „Solidarnością”. Pod koniec roku miał gotowy obraz, udźwiękowiał go własnie, kiedy zaczął się stan wojenny. Wtedy cały materiał zrejestrował z ekranu na taśmę wideo, na wszelki wypadek, i wyniósł z wytwórni.

Ale materiały do filmu ocalały, przechrzył cenzurę, decydując się na pokazanie jednej z części tryptyku. Nawet pozycja „Chłopski los” została rozliczona księgowo, ku uldze wytwórni. Dzięki temu mógł pod tym tytułem wyświetlić zupełnie inny obraz na przegładzie w Niepokalanowie w 1987: pokazał pełne materiały z kasety. W 1989 za swój tryptyk pokazany na ekranie otrzymał główną nagrodę Festiwalu Krakowskiego. Dzięki syntezie, którą zawarł w swym obrazie, temat nie zestarzał się, był nośny. Wtedy zrozumiał, czym jest naprawdę niezależny twórca.

Uważa, że ma szczęście natrafiania na ciekawych ludzi i na ciekawe tematy, nie tylko w kraju. Ostatnio najwięcej kręci za granicą. Był na stypendium w Dallas w wytwórni Lumen 2000. Pod San Antonio w Teksasie nakręcił film „Patriarcha Polonii amerykańskiej”. We Lwowie zrealizował „Powrót”, zarejestrował tam wywiad z metropolitą Kościoła grekokatolickiego Styrniukiem.

Interesuje go teraz to wszystko, co można nazwać polską duchowością. To kolejny powrót do korzeni.

K. F.

Możliwe, że Balcerowicz odejdzie i będzie robił to, co potrafi – wykladał na uniwersytecie

Cd. ze str. 1

szej liczby samochodów, bo nie mamy dróg... Niestety, nie mamy szans konkurować z Zachodem.

– Często jednak zaprasza Pan zachodnich biznesmenów do Polski. Po co?

– Bo zdaje sobie sprawę, że wejście poważnego kapitału zachodniego do Polski da jej szansę na sensowne zmiany w gospodarce. Co prawda on się na razie do nas nie garnie, bo warunki, z jakimi mamy do czynienia w Polsce są co najmniej nie do przyjęcia, by nie używać bardziej dosadnych określeń. Nie ma systemu bankowego z prawdziwego zdarzenia – a bank jest partnerem dla biznesmenów, bez banku nie ma pieniędzy. Z drugiej strony nie jestem tak naiwny, by wyobrażać sobie, iż cały system zmienimy jednym dekretem, tak więc trzeba przyjąć do wiadomości, że dla zachodniego kapitału są wciąż rynki atrakcyjniejsze od naszych. Dla amerykańskiego – chociażby Ameryka Południowa czy Daleki Wschód. Gdyby zresztą spojrzeć na listy pierwszych firm polonijnych czy zagranicznych to okazałoby się, że kapitał amerykański w ogóle u nas nie inwestował. Europejski trochę więcej – angielski, włoski, czy najbardziej niemiecki, ale dziś Niemcy mają szeroki atrakcyjny rynek w dawnych Niemczech wschodnich.

– Jak Pan ocenia dochodzenie Polski do gospodarki rynkowej?

– Rozwiązania rynkowe w zmieniającej się niestabilnej rzeczywistości i w nieprzgotowanym społeczeństwie mogą okazać się fatalne w skutkach. Ludzie muszą stopniowo dorastać do zmian. Sądę zresztą, że moje pokolenie już nie doczeka czasów, gdy polska gospodarka będzie porównywalna z zachodnią.

– Dość pesymistyczny obraz. Co jest największym zagrożeniem?

– Powtórzę raz jeszcze – ludzie. Poprzednie lata zostawiły garb przyzwyczajęń, czasami wręcz demoralizacji. Dwa pokolenia zostały zniszczone przez socjalizm. Widzę te zmiany trochę dalej i jestem przerażony. Jak zmienić stosunek ludzi do pracy, co zrobić, by zapomnieli o czasach, w których ich „rozpuszczano”.

– Mentalność ludzka jako powód i przyczyna zbyt powolnych zmian? Czy to nie wielkie uproszczenie?

– Wszystkie razem się pomieszało, jest totalny bałagan. I rozwiązania prawne, i nawyki, ale system tworzą przecież ludzie.

– Czy również i Pan obwinia Balcerowicza za ten stan rzeczy?

– On był konsekwentny, miał plan, obnażał braki gospodarki. Może zresztą musimy wrócić do podstaw, by się podnieść?

– Dlaczego o konsekwencji Balcerowicza mówi Pan w czasie przeszłym?

– Bo sądzę, że on ma tego wszystkiego dosyć. Naciski są straszne. Możliwe, że ten człowiek odejdzie i będzie robił to, co potrafi – wykladał na uniwersytecie. Pewnie wie teraz więcej o gospodarce niż wtedy, kiedy zaczynał, ale to jeszcze za mało.

Wzory zachodnie wprost przeniesione do Polski mają ogromne konsekwencje. Upada cały przemysł. Jeżeli w 1982 roku stworzyłem na wsi 250 miejsc pracy, a dziś tę firmę zamykam, zwalniam ludzi – to oczywiście, że nie jest u nas najlepiej. Koszty i spadek popytu oraz dystrybucja, która jest rozwalona, spowodowały, że nie ma dla kogo produkować i jak sprzedawać. Wyrób jest zły, niekonkurencyjny, ludzie słabo pracują. Moje kożuchy przestały po prostu iść, bo przywożone z Turcji są tańsze. Czas więc zacząć zadawać

– Jak Pan ocenia prywatyzację w kraju?

– Prywatyzacja? Dla kogo? Kto ma kupować akcje, jeżeli banki nie dają kredytów na ten cel? Brak w tym wszystkim koncepcji. Nie mówię o drobnych ciulaczach, ale o dużych inwestorach.

– Czy Pan sam kupił akcje jakiegokolwiek przedsiębiorstwa?

– A po co mi taki niepewny interes? Swego czasu rozmawiałem z kierownictwem łódzkiej „Wólczanki”, bo właśnie z kapitałem zachodnim chcieliśmy ją kupić w całości. Ale załoga się nie zgodziła. Zresztą, po co mi jakikolwiek zakład, w którym nie wiadomo, kiedy będą pracować, a kiedy strajkować?

– Biznes już – zdaje się – Panu nie wystarcza.

– Założył Pan Klub Kapitału Łódzkiego.

– Dawno to powinniśmy zrobić, bo miasto z takimi tradycjami biznesu przedwojennego i w naszych czasach powinno kwitnąć. Nie zamie-

I pewnie do tego – jak wszędzie – dojdzie i w przyszłości. Jak na razie mieliśmy tylko namiastki tego.

– To znaczy?

– Niektórzy np. finansowali w kampanii prezydenckiej różnych kandydatów.

– A Pan?

– To już nieistotne.

– Na kogo Pan głosował?

– Uważam, że kraj jest faktycznie w trudnej sytuacji i ktoś musi wziąć odpowiedzialność za zmiany. Najodpowiedniejszym kandydatem do tego wydał mi się Lech Wałęsa. Głosowałem po prostu za Polską. Za tym, by się nie rozpadła, za rozsądkiem i spojrzeniem w przyszłość.

– Nie ma Pan np. aspiracji senatorskich?

– Przeżyjemy teraz rewolucję – choć bezkrwawą. Ona jeszcze potrwa jakiś czas. I w takim momencie nie możemy o tym jeszcze mówić.

– Czy po kilkunastu latach działania satysfakcjonuje Pana 45 miejsce na liście najbogatszych Polaków, przygotowanej przez tygodnik „Wprost”? Na pierwszym miejscu jest Barbara Piasecka-Johnson.

– To jakaś zabawa. Stosowane kryteria są bardzo umowne i nie wiadomo skąd brane. Robi się przy tym dużo zamieszania, dziennikarze szukają sensacji. A ja po prostu postawiłem sobie w życiu pewne wymagania i mając siłą wewnętrzną motywację – starałem się osiągnąć cele. Nikt mnie nie zmuszał, bym posyłał syna do szkoły w Szwajcarii, ale chciałem, by miał zapewniony jak najlepszy start w życiu. No więc zarabiałem, by móc ten plan zrealizować. Jest rzeczą oczywistą, że jeżdżę najbezpieczniejszym samochodem w polskich warunkach – mercedesem. Rocznie przejeżdżam 70 tys. kilometrów i zabiegane życie nie pozwala mi po prostu jeździć maluchem.

– Wciąż interesy?

– Teraz chętnie pomyślałbym o czymś, co pozwoliłoby mi stać nieco z boku np. o budowie pasażu w centrum Łodzi między Piotrkowską a Sienkiewicza. Byłoby kilkadziesiąt butików czy sklepików do wynajęcia. Ja sam już bym nic nie prowadził.

– Jest Pan zmęczony?

– Czasami w życiu trzeba spojrzeć wstecz, zastanowić, co się zrobiło, po co to wszystko. Zrobić rachunek sumienia.

– I co Panu z niego wychodzi?

– W sumie jestem zadowolony ze swojego życia, ale wiele celów osiągnąłem jednak kosztem innych rzeczy np. życia rodzinnego. Biznes, niestety, wymaga poświęceń i czasu.

Rozmawiała:

Ewa Kluczkowska

„Nie mamy szans”

zasadnicze pytania o rozwiązania gospodarcze.

– Jakież?

– Na przykład, czy należy popierać rozwój rodzimego przemysłu i do tego odpowiednio dostosować bariery celne, czy też szeroko otworzyć granice z wszelkimi konsekwencjami tej decyzji czyli upadkiem niemal całego polskiego przemysłu, który w ogóle nie jest konkurencyjny. To samo dotyczy rolnictwa, które już dziś odczuwa wielkie konsekwencje zmian. A czy w ogóle jest na świecie inny kraj, który tak zniszczyłby własną gospodarkę? Sam istnieję w biznesie od kilkunastu lat i dobrze wiem, że tego, co się zniszczy, nie jestem w stanie szybko odbudować.

– Jest Pan jednak niekonsekwentny w swoich poglądach. Z jednej strony jest Pan zwolennikiem otwarcia na Zachód i przyciągnięcia dużego kapitału do Polski, z drugiej zaś chce Pan chronić sztucznymi metodami rodzimą gospodarkę.

– Jasne, że jest to pewna niekonsekwencja, ale wszyscy jesteśmy dziećmi tamtego systemu. W jakimś sensie i ja nie jestem przygotowany do nowych czasów, choć co nieco w tym biznesie robię. Uczyc się musimy wszyscy. Poza tym pytania, o których mówimy, są tak zasadnicze, że na prawdę nie ma na nie prostych odpowiedzi.

rzamy tworzyć wielkiej grupy, maksimum będzie 40 osób. Postawiliśmy dość wysokie wymagania przy wstępowaniu do klubu – milion dolarów rocznego obrotu i 10 tys. dolarów wpisu.

– Elita biznesu jako promotor przemian?

– Dokładnie tak. Lobby gospodarcze tworzące atmosferę wokół zmian pozytywnych. Nie jesteśmy przecież ludźmi, którzy pół roku temu zrobili pieniądze na aferach spirytusowych czy papierosowych. Mamy za sobą lata doświadczeń, chcemy dzielić się nimi między sobą. Ułatwiać kontakty z zachodnimi biznesmenami, oferując ze strony polskiej poważnych partnerów, bo przecież z tym na razie różnie u nas bywa. Zresztą uważam ostatecznie, że w kraju musi powstać warstwa społeczna, która będzie lokomotywą dla zmian. Nie szwaczka nadaje przecież ton temu, co zachodzi w gospodarce, lecz duży kapitał. Tak jest wszędzie na świecie. Polsce bardzo potrzebna jest średnia warstwa, której liczebność zazwyczaj świadczy o zamożności społeczeństwa.

– Powiedział Pan kiedyś, że nie interesuje się polityką. Ale u Wałęsy na spotkaniu Pan był.

– Zaproszono mnie.

– Wszędzie na świecie biznes powiązany jest w przeróżny sposób z elitami władzy. U nas również?

– My to już „braliśmy” w minionym okresie.

„Ja się nie boję, nie ma znaczenia, czy zginę rok wcześniej czy później”

W głównym wydaniu „Wiadomości” cała Polska usłyszała, że w Łodzi na osiedlu Chojny stanął pręgierz. Mieszkańcy postanowili, że każdy złapany na gorącym uczynku złodziej zostanie do niego przykuty i tak będzie oczekiwano na przyjazd policji. Powiało sensacją. Na drugi dzień urywały się telefony, policja jeździła po całym osiedlu w poszukiwaniu pokutnego słupa.

Kiedy po raz dziesiąty włamano się do sklepu spożywczego i po raz szósty do kiosku, Adam Bieńkowski, dziennikarz i satyryk, autor rysunkowego Polikarpa z „Expressu Ilustrowanego”, stracił cierpliwość. Uznał, że skoro policja jest bezradna i boi się złodziei, inicjatywę trzeba przejąć w swoje ręce. Sąsiada Tadeusza Bakierę, byłego partyzanta BCh, mianował szeryfem osiedla, zaproponował zorganizowanie samoobrony obywateli i wystawienie na skwerku przed blokiem pręgierza z łańcuchem i kajdankami.

„Nie domagamy się samosądów, szeryf będzie pilnował, aby przykutomu delikwentowi nie stała się krzywda. Chodzi o to, żeby ludzie zobaczyli złodziejaską, zapamiętali, a on na pewno już więcej na nasze osiedle nie wróci” – tłumaczy pomysłodawca, a T. Bakiera zawiadadko dodaje: – „Ja się nie boję, nie ma znaczenia czy zginę rok wcześniej, czy później. Cztery lata temu złapałem na gorącym uczynku złodzieja, milicja potrzymała go do rana i zwolniła. Ludzie ciężko pracują, a potem przychodzi taki i okrada mieszkanie albo zabiera samochód. Mam zamiar zachęcić młodzież, stworzymy cały oddział samoobrony”.

Znany z poczucia humoru i wesołych pomysłów A. Bieńkowski całą spra-

wę potraktował pół żartem pół serio, ale wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy, znajdując spore poparcie wśród zdesperowanych mieszkańców Łodzi. Informacja o tym, że w Polsce wraca się do średniowiecznych metod ukazywała się podobno nawet w „New York Timesie”. Był też telefon z sa-

sobów zwrócenia uwagi na problem braku bezpieczeństwa, a nie jest to wyłącznie bolączka Chojen. Można pisać petycje, a można też sprawę ująć dowcipnie i niekonwencjonalnie”.

Prezes spółdzielni Jerzy Józefacki stara się obrócić wszystko w żart: „Jeśli to ma być happening – chętnie za-

nie ludzi do słupa może zostać zakwalifikowane jako pozbawianie wolności.

Obywatele mają prawo wymagać, by zapewniono im bezpieczeństwo, po to m.in. płacą podatki, aby policja była dobrze wyposażona i rzetelnie wykonywała swoje obowiązki. Nie

Łańcuchem do pręgierza

mej Najwyższej Kancelarii. Z polecenia prezydenta przekazano ostre słowa krytyki.

– „Wiem, że to naruszenie praw obywatelskich i jeśli pręgierz stanie, będę przestęchiwany przez prokuraturę – mówi autor pomysłu. – Mam to w nosie! Ludzie są bezradni, czują się zagrożeni, chcą mieć spokój i porządek”.

A. Bieńkowski przedłożył swoją propozycję Spółdzielni Mieszkaniowej „Lokator”. Sprawa będzie rozpatrywana na najbliższej Radzie Osiedla – jeśli pomysł zostanie zaaprobowany, na Strycharskiej stanie pręgierz.

– „Pomysł pana Bieńkowskiego – mówi kierownik osiedla Krzysztof Robak – przyjmę jako propozycję postawienie słupa ogłoszeniowego – pręgierza opinii społecznej, który ostrzegałby obywateli zachowujących się niezgodnie z oczekiwaniami mieszkańców osiedla. Prawo zabrania przykuwać do słupa, ale nie zabrania wieszać ogłoszeń, ośmieszając, piętnować. Uważam, że jest to jeden ze spo-

bawimy się, jeśli chodzi o reklamę swojej osoby – pan Bieńkowski osiągnął cel. Osobiście nie podoba mi się taki zaściankowy punkt widzenia i uważam to za lekką przesadę. W końcu są organa uprawnione do ścigania przestępców i wymierzania im sprawiedliwości”.

W komendzie policji dla dzielnic Łódź-Górna ostrzegają przed zbytnim demonizowaniem włamań, jakie mają miejsce na osiedlu – są tereny bardziej zagrożone, np. rejon targowiska na placu Niepodległości. Pochwalać to, że ludzie organizują się, tworzą komitety samoobrony, ale pod warunkiem, że będą działać w granicach niezbędnej konieczności, a należy zwrócić uwagę, że aby zaistniały warunki do obrony koniecznej, musi mieć miejsce atak. Zdaniem prokuratury sam pomysł postawienia pręgierza nie jest jeszcze naruszeniem prawa, ale jeśli zostanie wprowadzony w czyn – jego realizatorzy muszą liczyć się z odpowiedzialnością karną. Wszystkim zwolennikom pręgierza należy uświadomić, że przywiązywa-

tylko łapała złodziei i odzyskiwała skradzione mienie, ale też zapobiegała aktom wandalizmu. Dla zwiększenia bezpieczeństwa można starać się pomóc organom ścigania, tworząc quasi-straż, obywatelskie patrole, społecznie strzeżone parkingi, można na własny koszt wynająć pomieszczenia na posterunek, ale nie można zastępować policji.

Starsi panowie, siedząc przy herbach, w wygodnych bamboszach, świetnie bawią się w łapanie złodziei. Zapominają jednak, że dzisiejsi przestępcy są dobrze zorganizowani, często lepiej niż policja wyposażeni, bardzo sprawni fizycznie. Emeryt, choćby z partyzancką przeszłością i dużą fantazją, ma raczej znikome szanse na ujęcie złodzieja. A poza tym – kto dziś da się nabrać na średniowieczne metody?

Monika Matuszak

Wiadomość, jaka dotarła do nas z kół uniwersyteckich miała charakter sensacji. Uczelniana „Solidarność” wywiesiła „List otwarty NSZZ „Solidarność” UŁ do JM Rektora Uniwersytetu Łódzkiego”.

List w gablocie

W liście tym pisano między innymi: „Społeczność naszej uczelni jest mocno zbulwersowana ostatnimi decyzjami finansowymi władz Uniwersytetu Łódzkiego. Chodzi o zakup z funduszu inwestycyjnego uczelni 2 samochodów japońskich „Mazda” (a 131 mln zł), 1 „Mercedesa” (a 350 mln zł), a także kompletu mebli skórzanych (a 27 mln zł), tv kolorowego (a 14 mln zł) i innego sprzętu na wyposażenie gabinetu JM Rektora (...)

Ogólnie złą sytuację państwa odczuwają w oczywisty sposób szkoły wyższe – brak funduszy na czynsze, remonty, na aparaturę naukową itp. Z perspektywy pracowników uczelni oz-

Konflikt na Uniwersytecie

Jego Magnificencja do kąta!

nacza to ciekawą niepewność co do waloryzacji plac, obawę przed zwolnieniami, nieprzekazanie do tej pory przez MEN funduszy na badania, co uniemożliwia prowadzenie normalnej pracy badawczej itp. Dodajmy do tego odebranie pracownikom UŁ w ostatnim czasie – w imię oszczędności budżetowych – dopłat do biletów PKP.

W tym kontekście luksusowe zakupy poczynione ostatnio przez władze uczelni u części pracowników Uniwersytetu wzbudziły nieprzejmne zdziwienie, u części – proste oburzenie. Tym większe, że jak poinformowano Senat na ostatnim posiedzeniu, przewidywany na koniec roku globalny deficyt uczelni wyniesie około 40 mld zł. Stało się to powodem podjęcia przez władze uczelni decyzji o zablokowaniu z dniem 1 czerwca 1991 r. zakupów maszyn biurowych, komputerów, aparatury do celów naukowo-badawczych i dydaktycznych itp. W tej sytuacji nie może dziwić, że znów można usłyszeć komentarze o arogancji i dygnitarstwie”.

List w imieniu Komisji Uczelnianej NSZZ „Solidarność” podpisali: A. Miszalska, A. Mioddek, A. Paszkiewicz.

Zwróciłam się do Komisji Uczelnianej „Solidarności” z prośbą o szerszy komentarz.

Anita Miszalska: – Sprawa nie jest do druku, niebawem będzie posiedzenie Senatu UŁ.

Lęki i opinie

Rozmawiałam z wieloma ludźmi pracującymi w UŁ, od których chciałam dowiedzieć się czegoś więcej na temat konfliktu między „Solidarnością” a rektorem UŁ. Owszem, wiele osób chciało mi pomóc, szerzej opowiedzieć o tym, co im wiadomo, ale – zastrzegali się – tylko pod warunkiem, jeśli będzie to rozmowa wyłącznie prywatna. Jeśli żechcę skorzystać z ich opinii, to bez podawania nazwisk. Byli i tacy, którzy powiadali, że pierwsze słyszą, o niczym takim nie wiedzą. Rodziło to podejrzenie, że albo nie chcą wiedzieć, albo udają, że nie wiedzą. Przecież „List otwarty” był wywieszony w gablotach „Solidarności”, a zatem dla wszystkich dostępny.

Mimo wszystko udało mi się zebrać nieco różnych informacji, które przedstawiam.

Profesor Michał Seweryński – prawnik – był podczas poprzedniej kadencji prorektorem do spraw studenckich. Rektorem został wybrany w październiku 1990 roku i w dużej mierze zdecydował o tym głosy studentów. Dowiedziałam się od moich rozmówców – i tu nie było rozbieżnych opinii – że rektor jest dobrym organizatorem, zna języki obce, jest człowiekiem reprezentacyjnym, obytym w świecie, że sprawdził się jako prorektor. Nie boi się mieć własnego zdania i umie je bronić.

Ktoś zastanawiał się czy nie byłoby jednak lepiej taktycznie, gdyby te pieniądze nie zostały wykorzystane. Inny mój rozmówca twierdził, że nie był to najlepszy moment na takie zakupy, bo nie znano w całości budżetu i ludzie czuli się niepewnie. Ale znów ktoś inny był przekonany, że był to ostatni moment, aby takie zakupy zrobić, bo może być gorzej. Pewien rozmówca wrzucił tylko ramionami i powiedział: „Śmieszne robić tyle hałasu o samochody czy meble, przecież to jest tylko dowód, że rektor dba o uczelnię”.

Usłyszałam też kilka różnych zdań na temat uczelnianej „Solidarności”: że ciągle czuje się partią polityczną a nie związkiem zawodowym, że traci wpływy i wielu poważnych ludzi rozgląda się za inną organizacją, z którą mogliby się związać, że jest wewnętrznie skłócona, podzielona na trzy grupy, że był to tylko gest na pokaz, aby zamanifestować swoje istnienie.

Ale też usłyszałam wiadomość zaskakującą, że między „Solidarnością”, która popierała kandydaturę prof. Michała Seweryńskiego jako kandydata na rektora – plakaty wyborcze głosiły, że to „nasz kandydat” – zawarty został niepisany układ, co do pewnych zmian personalnych. I że ten układ nie został dotrzymany.

Ile w tym wszystkim prawdy? Bogusław Rakowski, przewodniczący ZNP

w UŁ: – Do ZNP również zgłaszali się ludzie z pretensjami, że my nic nie robimy, że mają wątpliwości co do celowości dokonanych zakupów, że „Solidarność” walczy, a my nie. Uczestniczę w posiedzeniach Senatu UŁ i nie tylko wiem, o czym tam się mówi, ale mogę przecież poprosić jeśli mam wątpliwości. A miałam takie, co do celowości zakupu mebli. Zapytałam, wyjaśniono i wiem, jakimi kierowano się pobudkami.

Andrzej Mioddek, delegat „Solidarności” do Senatu UŁ, jeden z autorów „Listu otwartego”: – Odbędzie się posiedzenie Senatu UŁ, jest stanowisko Senatu w tej sprawie, przygotowuję się do wyjazdu i nie mam czasu na rozmowy, zresztą, nie byłoby o czym mówić.

Zwróciłam się do sekretariatu KU NSZZ „Solidarność” z pytaniem, czy mogłabym poznać opinię Komisji Uczelnianej o stanowisku, jakie zajął Senat UŁ? Usłyszałam, że nie będzie żadnych wyjaśnień i informacji dla prasy.

Sądzę – wbrew tym poglądom – że jest o czym rozmawiać. Dowiedziałam się choćby, że wielu adiunktów, którzy nigdy nie przychodzili

do tej pory po pożyczki, teraz je biorą, gdyż nie mają za co pojechać na wakacje. Społeczność akademicka – niestety – biedniejsza. Chodzą po uczelni plotki, że będą grupowe zwolnienia, że ma być zwolnionych 400 osób. Kto ma się takimi sprawami zająć, jak nie związki zawodowe?

Stanowisko Senatu UŁ

Senat UŁ zajął w sprawie konfliktu między uczelnianą „Solidarnością” a JM Rektorem następujące stanowisko:

„Senat UŁ na posiedzeniu w dniu 13.06.1991 przyjął do aprobowania wiadomości działania rektora zakwestionowane w liście otwartym KU NSZZ „Solidarność”.

Odpowiedź rektora UŁ

W obszernym piśmie datowanym 13.06.1991 roku prof. Michał Seweryński wyjaśnił:

1. zakup nowych samochodów jest fragmentem całościowego planu uporządkowania gospodarki transportowej uczelni... Plan ten opiera się na „ograniczeniu liczby posiadanych samochodów do 29 do 20”. Do sprzedaży przeznaczono 9 samochodów: 3 „Volgi”, „Nysy”, 2 autobusy „Jelcz” i „Autosan”, 2 dostawcze „Żuk” i „Robur” oraz ciężarowy „Star”. Tabor ma ulec zmodernizowaniu, co już częściowo stało się. Zamiast mało wydajnej „Nysy” (paliła 15 litrów benzyny na 100 km i zabierała 9 pasażerów) kupiono mikrobusek „Mercedes”, który pali 12 litrów ropy na 100 km i zabiera 14 osób.

Tu konieczna jest dygresja: z listu „Solidarności” wynikało, że „Mercedes” jest samochodem osobowym, co jednak istotnie zmienia wagę zarzutów.

Kupione „Mazdy” są też bardziej ekonomiczne od „Volgi”, palą o połowę mniej i to ropę zamiast benzyny.

Rektor UŁ przypomina ponadto, że plan tych zakupów został zatwierdzony przez Kolegium Rektorskie UŁ 03.01.1991 roku oraz, że „w posiedzeniu tym brali udział przedstawiciele obu związków zawodowych i nie zgłosili żadnych zastrzeżeń (ani w czasie posiedzenia, ani przez długi czas, jaki upłynął od posiedzenia Kolegium do dnia zakupu samochodów)”. Rektor UŁ wyjaśnia też, że pieniądze przeznaczone na zakup samochodów „pochodzą z zeszłorocznej nadwyżki budżetowej” oraz częściowo z pieniędzy przyznanych przez MEN na dofinansowanie uczelni. We wniosku o to dofinansowanie „była m.in. mowa o zamiarze zakupu mikrobusek”. Rektor wyjaśnia dalej: „zakupy te nie pozostają w żadnym związku z wydatkami na płace, stypendia, czynsze i badania naukowe, ponieważ na te cele są zapewnione w budżecie UŁ potrzebne środki finansowe, a obowiązujące przepisy prawne uniemożliwiają przeznaczenie tych środków na fundusz rozwoju. Nie konkurują one także – pisze dalej prof. Michał Seweryński – z zakupami innego wyposażenia, o czym świadczy fakt, że najpierw zakupiono konieczną liczbę komputerów w celu usprawnienia pracy administracji”.

2. Częściowe odnowienie gabinetu rektorskiego było uzasadnione zużyciem jego wyposażenia, gdyż poprzednie meble pochodziły z 1974 roku i po remoncie są dalej wykorzystywane w UŁ. Koszt naprawy telewizora – wyjaśnia Rektor UŁ – „przewyższał jego wartość”.

3. Prof. Michał Seweryński przypomina, że polityka finansowa UŁ, jest kontrolowana przez Senat UŁ oraz związki zawodowe i gotów jest „uznać słuszną krytykę z ich strony”. Ale „łączenie zakupów wyposażenia na potrzeby uczelni z występującą w naszym kraju inflacją, recesją i bezrobociem jest grubym nieporozumieniem”. Swoje uwagi rektor UŁ kończy stwierdzeniem, że „nie ma więc podstaw do niepokoju. I nie ma potrzeby stawiać rektora do kąta”.

Zamiast komentarza

Rezygnuję z komentowania. Rozmowa, jaką przeprowadziłam z prof. Michałem Seweryńskim wyjaśnia wszystko.

Bogda Madej

Kat czy dobrodziej?

Rozmowa z rektorem Uniwersytetu Łódzkiego – profesorem dr. hab. MICHAŁEM SEWERYŃSKIM

Jaka jest sytuacja finansowa Uniwersytetu Łódzkiego, bo gdyby dać wiarę różnym pogłoskom, to powinna być bardzo zła?

– Skoro jest kryzys w kraju, to musi się to w jakiś sposób odbijać na życiu uczelni. Jesteśmy uczelnią państwową, a to oznacza zasilanie z budżetu państwowego.

– Rozumiem, że wiąże się z tym różne ograniczenia, jakie?

– Wielorakie. Na przykład nie mamy popłuku, ale mamy limit na płace. To nie jest limit etatów, ale limit plac. To oznacza, że nawet gdybyśmy mieli bardzo dużo pieniędzy, to nie wolno nam wydawać ich ponad sumę, jaką nam określiło Ministerstwo Finansów poprzez MEN.

Inny przykład: poszczególne wskaźniki do budżetu uniwersytetu nadchodzą etapami, ile na płace, ile na stypendia, ile na naukę. To powodowało pewien niepokój w uczelni. W maju czytaliśmy plan rzeczowo-finansowy i ujawniły się rozbieżności pomiędzy naszymi zamierzeniami a możliwościami ich pokrycia. Trzeba było bilansować te pozycje, dopasowywać je do siebie, zakładając, że nie może być deficytu. 17 czerwca na posiedzeniu Senatu UŁ odbyło się drugie czytanie budżetu uczelni i został on zrównoważony. Było to możliwe dzięki temu, że mieliśmy nadwyżkę budżetową z 1990 roku.

– Czy program badań naukowych nie jest zagrożony?

– Badania finansowane są przez Komitet Badań Naukowych. Dostaliśmy już na dotację ogólną z KBN, 18 miliardów zł, ale jeszcze nie mamy odpowiedzi na indywidualne wnioski naszych naukowców. Jeśli je otrzymamy będziemy wiedzieli, jakimi jeszcze dodatkowymi pieniędzmi dysponujemy, bowiem każda uczelnia stosuje narzut z tytułu kosztów pośrednich, a to daje określony zysk. Mogę więc powiedzieć, że badania nie są zagrożone.

– Ale nie znaczy to, że nie będzie kłopotów.

Znaleźliśmy się w grupie dwudziestu kilku uczelni, które są samorządne. Sami uchwaliliśmy statut, regulamin studiów i regulamin naboru na studia. Również inne wewnętrzne akty stanowić będziemy sami. Ale jednocześnie nie jesteśmy samowystarczalni i samodzielni finansowo. W naszych warunkach społecznych i gospodarczych nie możemy być przedsiębiorstwem samofinansującym się. Ale z tego nie wynika wcale, że nie możemy samodzielnie szukać dopływu pieniędzy do uczelni. Na przykład poprzez rozwijanie badań finansowych przez różne instytucje, poprzez usługi czynione dla zagranicznych partnerów. Możliwości jest sporo, nie będę wszystkich wymieniał.

Trzeba jednak powiedzieć, że mimo różnych kłopotów finansowych, i nie tylko, uruchomiliśmy nowe kierunki studiów: informatykę, ochronę środowiska, germanistykę w Kolegium Języków Obcych oraz reformujemy te kierunki studiów, które były zależne od dawnego systemu i stały się dla studentów mniej atrakcyjne.

– Styszałam, że planuje się zwolnienie 400 osób?

– Styszałam gorszą plotkę, że w sierpniu cały Uniwersytet Łódzki idzie na urlop, bo nie ma pieniędzy na płace. Nie jestem w stanie powtórzyć wszystkiego, co mówi się na temat sytuacji UŁ. Na przykład o zwolnieniach grupowych. Ludzie prawdopodobnie myślą tak: skoro gdzie indziej jest tak źle, to u nas nie może być lepiej, musi być tak samo. A nie jest tak samo. Na przykład, nie wstrzymaliśmy wypłat za godziny nadliczbowe, jak to się zdarza gdzie indziej.

– Ale nie może pan powiedzieć, że nie będzie zwolnień w ogóle?

– Nie, tak powiedzieć nie mogę. Ot, choćby samochody, o które było tyle hałasu. Czy uczelni potrzebny jest tak wielki transport? Inny przykład: mamy własne wydawnictwo i trzeba je utrzymać, bo jest potrzebne. Ale tu znów trzeba stosować taką zasadę, że pewne usługi poligraficzne można kupować, zamiast wszystkiego robić we własnym zakresie. Dalej: czy potrzebne jest uczelni wielkie przedsiębiorstwo remontowo-budowlane z kilkudziesięciuosobową załogą? Uczelnia kupiła kilkanaście komputerów, część pracowników administracji została przeszkolona w tej dziedzinie i teraz rodzi się pytanie, czy nadal powinno się utrzymywać ten sam poziom zatrudnienia w administracji?

Ale jednocześnie otwieramy hotel dla cudzoziemców na 720 miejsc i będziemy musieli zatrudnić 50 osób obsługi.

– Nie dziwi pana chyba fakt, że ludzie czują się niepewnie?

– Zupełnie mnie to nie dziwi, tym bardziej, że gdy się coś reformuje, wprowadza nowe metody pracy, dość często następuje konflikt. Zmieniliśmy na przykład pensum dydaktyczne. Podwyższyliśmy je lektorom i wykładowcom. Obniżyliśmy profesorom, co może być odbierane jako podział na grupę pracowników nauki uprzywilejowaną, bo mającą mniejsze pensum i „proletariat”, który ma wyższe pensum. Takie pociągnięcie – chociaż uchwalone przez Senat UŁ – nie przysparza popularności i moge usłyszeć, że „Seweryński – to kat”, bo ludziom zabrał pieniądze.

– Czuje się pan więc katem czy dobrodziejem?

– Zgodziłem się kandydować na stanowisko rektora UŁ, bo żyję sprawami uczelni i chciałem coś dla niej zrobić. Ale jednocześnie wiem, że jestem tu na krótko, więc się do rektorowania zbytnio nie przyzwyczajam.

– Taka postawa rodzi pewne niebezpieczeństwa, ludzie mogą to odczytać fałszywie, jako słabość, brak zdecydowania.

– Tak. Tym bardziej, że wszelkie decyzje były i są zatwierdzane przez Senat UŁ i inne gremia uczelni. Mnie było jakoś niezręcznie mówić publicznie o tym, co zrobiłem jako rektor. Ale teraz zorientowałem się, że nie mogę dalej tak postępować i na każdym posiedzeniu Senatu UŁ odczytuję wszystko, co rektor zrobił. Może się to niekiedy wydawać nudne, ale – według mnie – jest konieczne.

– A co rektor zrobił?

– Za wcześniej na podsumowanie. Ale pewne działania zasługują na podkreślenie, zwłaszcza w stosunkach z zagranicą. Tym sprawom kierownictwo UŁ poświęca szczególnie dużo uwagi. Pomaga nam to, że jestem przewodniczącym Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich. Z tego powodu jestem gospodarzem wielu spotkań międzynarodowych, jak i ich uczestnikiem poza granicami Polski.

W Łodzi mieliśmy spotkanie z Konferencją Rektorów uniwersytetów z różnych krajów. Z własnej inicjatywy przybyła do Łodzi delegacja Comité de Liaison z Brukseli. Po długich rozmowach doceniła pozycję i rolę Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich. W wyniku tego rektor UŁ, jako przewodniczący tej Konferencji, uzyskał status członka zrzeszonego w Comité de Liaison, najpoważniejszym organie zarządzania szkołami wyższymi w krajach EWG, mimo że Polska do EWG jeszcze nie należy. Spodziewam się, że to zaowocuje zainteresowaniem naszymi programami badawczymi, pozwoli na wymianę studentów i pracowników. A przede wszystkim podnosi prestiż polskich uniwersytetów, w tym także UŁ.

Te kontakty przynoszą już korzyści. Na przykład Niemiecka Konferencja Rektorów dała nam 50 tysięcy marek na zakup książek i zapowiedziała, że wejdziemy na listę korzystających z Fundacji Volkswagena. Do Polski wybierają się delegacje następnych konferencji rektorów uniwersytetów. Amerykanie przyjęli przewodniczącego Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich do Transatlantic Dialogue – grupy amerykańsko-europejskiej, studiującej problemy szkolnictwa wyższego po obu stronach oceanu. Grupa ta przygotowuje studyjny wyjazd polskich rektorów do USA, finansowany przez Fundację Forda. Na dobrej drodze są starania UŁ, aby w Łodzi powstała filia jednego z prestiżowych Instytutów EWG – Instytutu Administracji Publicznej z Maastricht – co stworzyłoby nowe możliwości studiów administracyjnych i politycznych, i zbliżyłoby Łódź do Europy. Wszystko to wzbogaca łódzki ośrodek naukowy i kulturalny. Wyniki tych badań i kontaktów mogą stać się zauważalne dopiero po pewnym czasie, może dopiero po ukończeniu mojej kadencji jako rektora UŁ, ale ktoś musi zacząć. Uważam, że żadna uczelnia nie może prawidłowo rozwijać się bez takich kontaktów.

We wszystkich tych spotkaniach zawsze staram się, ażeby UŁ był partnerem poważnym i godnym. Dbam więc zarówno o meritum, jak i o decorum, bo wiadmo, że „jak cię widzą, tak cię piszą i traktują”.

Proszę jednak nie rozumieć tego, że uważam się za dobrodzieja UŁ. Po prostu wypełniam swoje obowiązki. I kieruję się zasadą: jeśli jest margines nietolerancji dla osoby pełniącej publiczną funkcję, to trzeba z tym żyć, ale jeśli jest tylko margines poparcia – to trzeba rezygnować.

Rozmawiała:
Bogda Madej

Zadłużenie lokatorów sięga miliarda złotych

Patent na eksmisję

Samotnej matce dziś trudno już wychowywać nawet jedno dziecko. Gdy zaś ma się ich dwoje albo troje – sytuacja wydaje się prawie niemożliwa. Pani Grażyna T. ma piątkę dzieci, a do ewentualnej pomocy – tylko oddzielnie mieszkającą, w złych warunkach matkę.

Gdy wprowadzała się kilka lat temu na zawidziskie osiedle „Olechów”, wszystko wskazywało na to, że idą wreszcie dobre czasy. Będzie można razem i wygodnie mieszkać. Ale życie pokazało, że na Olechowcu samemu mieszkać bardzo trudno: jeden sklep, jedna pralnia, fryzjer, parę budek handlowych. Po wszystko tak naprawdę trzeba jeździć do miasta. Najpierw jedno najstarsze dziecko, potem drugie przeprowadzone zostało do matki. Pani Grażyna została z trójką, ale i coraz więcej czasu spędzała na drodze pomiędzy dwoma mieszkaniami. Do tego wszystkiego dołączyły się jeszcze kłopoty finansowe: znaczne podwyższenie kosztów utrzymania, coraz droższe lekarstwa, energia elektryczna i gaz. No i oczywiście – czynsz.

Gdy dziecko jest chore – trudno oszczędzać na lekarstwach. O oszczędnościach na jedzeniu pomyśleć można, ale przy dzieciach... Gdyby nie płacić prądu i gazu – pewnie po prostu by powyłazali. Chyba najłatwiej zaoszczędzić na czynszu. Do dziś zaległości pani Grażyny przekroczyły już kwotę 4 milionów złotych. Dla niej są to naprawdę duże pieniądze.

Na naszym osiedlu ta pani nie jest jedyną, która nie płaci – mówi kierownik administracji osiedla „Olechów-Słowiański”, Jerzy Sardecki. – Łączne tegoroczne zadłużenie ponad 2,5 tysiąca lokatorów przekroczyło 100 milionów złotych. Jest kilka osób, które powinny wpłacić po kilka milionów, większość zaś z tych 20 procent spółdzielców, którzy mają zaległości – powinna wpłacić za 1-2 miesiące. A czynsze u nas wysokie: po 240-260 tysięcy złotych. Ostatnio, jak banki bardzo podrożyły kredyty, coraz mniej chętnych na mieszkania. Gdy ludzie nie mają na opłatę komornego, to kogo dziś stać na wpłatę pierwszej raty w wysokości 60 milionów złotych? No i w efekcie cały jeden blok stoi pusty. 30 mieszkań.

Zdaniem administracji spółdzielni „Bawelna”, podobna do tej na „Olechowie” sytuacja jest w całej spółdzielni. Mieszkańcy od dawna będący członkami spółdzielni mają zakarbowany obowiązek płacenia czynszów i wywiązują się z niego. Osoby zaś zamieszkałe tu od niedawna – po prostu na czynszu oszczędzają. Stąd bierze się sporo nie-

porozumień z płatnościami kredytów, karnych odsetek. Jest też grupa, która podstawowy wymiar czynszu płaci – bo chce być w stosunku do spółdzielni lojalna – zwleka natomiast z zapłaceniem odsetek od kredytu bankowego. A przecież z bankiem i tak rozlicza się spółdzielnia, więc i tak w jej budżecie powstaje luka. Są osoby, które na mocy ustaleń ogólnych opłacają sam czynsz – pracownicy Polskich Kolei Państwowych i policji, i tym na pewno lżej.

W sytuacji, gdy lokator zwleka z płaceniem należności i odmawia płacenia ich od dłuższego czasu, spółdzielnia występuje o eksmisję. W tej chwili w „Bawelnie” jest kilka osób na takiej czarnej liście, kilkadziesiąt w przygotowaniu do wpisania na nią. Gdy chodzi o jakiś margines społeczny, lumpa czy pijaka albo po prostu nieroba – nikomu go nie żal. Gdy jednak trzeba występować o eksmisję w przypadkach podobnych do opisanego z „Olechowa” – wchodzi tu w grę koszty społeczne. Spółdzielnia próbuje prosić o współpracę pomoc społeczną, która może wystawić wniosek o kapitalizowanie odsetek i która czasami płaci za lokatora czynsz.

W sprawie eksmisji, w „Bawelnie” opatentowali ciekawy sposób: osoba eksmitowana otrzymuje jako mieszkanie zastępcze, lokal zwalniany przez rodzinę oczekującą na przydział spółdzielczego mieszkania ze względu na złe warunki mieszkaniowe. Lokatorzy zamieniają się po prostu mieszkaniami, i nie ma problemu z poszukiwaniem lokali zastępczych.

Zjawisko niepłacenia czynszów w ramach „Bawelny” poszerza się: tegoroczne zaległości przekroczyły kwotę 2 miliardów złotych. Podobnie rzecz ma się i w innych łódzkich spółdzielniach mieszkaniowych: w „Lokatorze” najemcy winni są już 3 miliardy zł, w SM „Polesie” – 69 milionów, na Chojnach – 650 mln zł, w „Czerwonym Rynku” – 1,8 mld zł, w spółdzielni „Ogniwo” – 0,5 mld zł, w „Osiedlu Młodych” – ponad 1 miliard złotych. Łódź jest miastem niebogatym, mieszkańcy z dnia na dzień pauperyzują się. Od końca roku, gdy padnie wiele zakładów pracy przemysłu lekkiego, z pewnością liczba mieszkańców niepłacących czynszów znacznie wzrośnie. Wtedy nie będzie już możliwości eksmitowania ich, bo nawet nieżyły pomysł kierownictwa „Bawelny” nie da się realizować. I wtedy wielkość społecznego zadłużenia łódzian na rzecz spółdzielni mieszkaniowych – przybierze rozmiar prawdziwej plagi...

J. Machejek

W kolejce do wyłączeń pierwsza jest „Wifama”

Bezsilni „dobroczyńcy”

350 miliardów wynosi obecnie zadłużenie łódzkich instytucji i zakładów przemysłowych wobec Zespołu Elektrociepłowni, Zakładu Energetycznego, Zakładu Gazowniczego i poczty. Nadal ma ono tendencję do wzrostu tym bardziej, że wobec pogarszającej się sytuacji łódzkiego przemysłu powiększa się stale także liczba dłużników.

Sytuacja jest zresztą dość patologiczna. Teoretycznie długi przestałyby rosnąć, gdyby sami wierzyciele zaprzestali dostaw energii cieplnej, elektrycznej, gazu czy wyłączyli telefon. Nikt jednak z nich, pomimo że stoi za nim prawo, zrobić tego nie chce zgodnie z zasadą, według której nie kopie się leżącego.

Tym sposobem rośnie nie tylko liczba dłużników, a wraz z nią wysokość zadłużenia (dodatkowo pomnażanego o odsetki), ale także liczba instytucji charytatywnych takich jak: Zespół Elektrociepłowni, Zakład Energetyczny, Zakład Gazowniczy i Wojewódzka Dyrekcja PPT. Ich dobroczynność nie jest jednak ani celowa ani zamierzona i wynika raczej z bezsilności i irracjonalnej ale wspólnej nam wszystkim wiary, że będzie lepiej. Żaden z dyrektorów wymienionych wyżej zakładów nie wie, jak długo jeszcze instytucja, którą kieruje będzie w stanie ponosić ciężar rosnącego zadłużenia. Natomiast wszyscy określają jednoznacznie sytuację, w której się znaleźli – jako dramatyczną, ratując innych, sami się zadłużają. Na przykład Zespół Elektrociepłowni, aby zakupić potrzebny węgiel zaciąga wysoko oprocentowane kredyty obrotowe w wysokości 30 – 40 mld złotych.

Będąc wierzycielami są więc jednocześnie dłużnikami innych, najczęściej także będących

dłużnikami. Jak długo uda nam się jeszcze przelewać z pustego w próżne – nie wiadomo.

Obecnie Zespół Elektrociepłowni wystosował do 110 swych niezależnych odbiorców pismo wzywające do podjęcia negocjacji w sprawie uregulowania płatności, zapowiadając jednocześnie wyłączenie energii cieplnej, a w przypadku największych swych dłużników zgłaszanie wniosków o ogłoszenie ich upadłości. Wyłączenie energii w najbliższym czasie zapowiada także Zakład Energetyczny, który znalazł się właśnie w sytuacji, że nie ma pieniędzy na wypłaty.

Ważą się obecnie losy „Wifamy”, której ze względu na ponad 3-miliardowy dług, Zakład Energetyczny chce odciąć energię jako pierwszą. Ze względu jednak na wagę problemu – jak poinformował nas dyr. Wiesław Kmin – decyzja podjęta zostanie w Warszawie. W kolejce do wyłączeń są już następni.

B. Kostrzewska

Najwięksi łódzcy dłużnicy (zadłużenie w mld złotych)

	Elektrociepłownia	Elektrownia	Gazownia
„Rena Kord”	7	0,3	
„Uniontext”	0,8	1,6	0,1
„Eskimo”	5	0,7	
„Wifama”	1	3,3	0,4
„Maltex”	4	0,5	
„Skogar”	3	0,4	
„Pierwsza”	2,5	0,2	
„Ortal”	4	0,1	
„Arelan”	2	0,5	
„Olimpia”	2	0,2	
„Fonica”	1,5	0,4	0,1

„Ja, Ryszard Siwiec, zdrow na ciele i umyśle, po długiej walce i rozważeniu, postanowiłem zaprotestować przeciwko totalnej tyranii zła, nienawiści i kłamstwa opowijającego świat.”

* * *

Ukończył wydział filozoficzno-historyczny we Lwowie, pracował jako księgowy w przemysłowej wytwórni win, bo nie chciał być nauczycielem kłamliwej historii. Miał piękną żonę i pięcioro dzieci. Był bardzo prawym człowiekiem o ustalonej hierarchii wartości: Bóg, Ojczyzna, rodzina.

Przez lata milczał, nie ujawniał swych przeżyć, bunt narastał w jego wnętrzu. Nie organizował żadnych tajnych struktur – nie chciał narażać innych, uważał, że jeszcze nie nadszedł czas. Ludzie, którzy go pamiętają, twierdzą, że można było spodziewać się takiego rozwoju wypadków. Jego nienawiść do ustroju musiała znaleźć ujście, nikt jednak nie mógł przewidzieć jaką przybierze formę. Czary dopełniła interwencja w Czechosłowacji.

Decyzja była przemyślana, wszystko dokładnie przygotowane – spowiedź, plan akcji, hasła na ulotki, wejściówka na stadion. Na dwa dni przed protestem, w budynku teatru „Fredrum” nagral 40-minutowe posłanie do władców, mas pracujących, chłopów i robotników, literatów, intelektualistów i młodzieży Związku Radzieckiego, z którego wynika jak dobrze był zorientowany w historii i sytuacji politycznej. Drżącym z emocji głosem

Po to, żeby nie zginęła prawda, człowieczeństwo, wolność – ginę”

Święty innej religii

pytał: „Dlaczego jesteście pewni, że właśnie wam w ciągu całych dziejów ludzkości uda się zbudować i utrzymać imperium oparte na przemocy, krzywdzie i niesprawiedliwości? Ustrój zanieślony na bagnietach i zawieszony na czołgach Armii Czerwonej do innych krajów, nie jest ani dyktatorem proletariatu, ani komunizmem, ani socjalizmem, ani demokracją. Nie ma ceny, której nie warto by zapłacić, żeby taki ustrój nie zapanował nad światem.”

8 września 1968 r. na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia podczas ogólnopolskich uroczystości dożynkowych 59-letni Ryszard Siwiec oblał się rozpuszczalnikiem i podpalił. Zmarł cztery dni później. Jako przyczynę śmierci podano wypadek.

W archiwach prokuratury nie zachowały się akta tej sprawy, zniszczone je w 1985 r., pozostała tylko notatka w repertorium, że kiedyś toczyła się sprawa o rozpowszechnianie w dniu 8 września 1968 r., na Stadionie Dziesięciolecia przez Ryszarda Siwicę ulotek zawierających fałszywe wiadomości o sytuacji polityczno-społecznej w Polsce. Do żony nie dotarł przejęty przez Służbę Bezpieczeństwa pożegnalny list: „Wybacz. Nie można było inaczej. Po to, żeby nie zginęła prawda, człowieczeństwo, wolność – ginę, a to mniejsze zło niż śmierć milionów. Nie przyjeżdżaj do Warszawy. Mnie już nikt nie pomoże.”

Strażacy i bliżej siedzący mężczyźni usiłowali ugasić żywą pochodnię, ale Siwiec wyrwał im się, przez cały czas wykrzykując antyreżimowe hasła. Ludzie – nie przygotowani na taki widok, na takie przeżycie – uciekali, krzyczeli „wariat”, „wódka się w facie zapaliła”. Panowie ubrani po cywilnemu od razu „zaopiekowali się” pełną ulotką te czką.

Siwiec chciał poruszyć sumienia Polaków, wstrząsnąć nimi, wytrącić z marazmu, dać sygnał do walki z obłądą, fałszem, zakłamaniem. Istniała bohaterska, ale nieprawdziwa wersja, że biegł z transparentem w stronę Gomułki, naprawdę aktu samospalenia dokonał w swoim sektorze. Liczył, że za pośrednictwem tysięcy ludzi zgromadzonych na stadionie całe społeczeństwo dowie się, jak trzeba walczyć z reżimem.

Tymczasem wszystko wyglądało tak, jakby nie się nie wydarzyło – widzowie chłonili banal doży-

nkowej fiesty, młodzież zgodnie ze scenariuszem tańczyła kujawiaki i mazury. W transmisji radiowej sprawozdawcy nawet zająknięciem się nie dali poznać, że na stadionie płonie człowiek, operator kamery był zbyt daleko, fotoreporter robił to, co do niego należało (tak go szkolono – nikt nie wydrukuj, a mogą być kłopoty).

Lekarze i pielęgniarki w szpitalu mieli powiedziane, żeby obserwować pacjenta i informować o każdym odwiedzinach. Strażacy i biorący udział w gaszeniu mężczyźni zostali wezwani do Komendy Stołecznej MO, podziękowano im przy koniaku, wręczono książeczki oszczędnościowe i kazano trzymać języki za zębami. Nawet tak zawsze dobrze poinformowane Radio Wolna Europa słowem nie wspomniało o tym wydarzeniu. Jak to się stało – sam Jan Nowak-Jeziorański do dziś nie potrafi wyjaśnić tej zagadki. Pierwszą informację podano w wiele miesięcy później, po otrzymaniu anonimowego listu (jego nadawcą był człowiek obecny przy rejestracji postania Siwicę w teatrze „Fredrum”).

W polskiej tradycji heroicznej nie ma miejsca na śmierć przez samozniszczenie, reakcją na nią jest podejrliwość, domniemanie, że człowiek, który porywa się na samego siebie i to w tak okrutny sposób, nie może być przy zdrowych zmysłach. Również Kościół katolicki nie jest przygotowany na ocenę podobnego czynu, takiej śmierci nie może włączyć do swej nauki. Kiedy na Wschodzie płoną mnisi i studenci – uznaje się ich za świętych, męczenników, w naszym kręgu kulturowym człowiek podpalający się jest uważany za psychopata.

„Mnich buddyjski dokonując aktu samospalenia zdecydował się na ofiarę pełną bólu – powiedział ksiądz Józef Tischner. – Chciał w ten sposób swoim krzykiem ogłosić, że ma coś bardzo ważnego do powiedzenia. Nic na świecie nie boli tak jak oparzenie.”

Ryszard Siwiec był człowiekiem głęboko religijnym, miał kochającą żonę i piątkę dzieci – decydując się na swój samobójczy protest, musiał dokonać trudnego wyboru. Ksiądz Tischner nazwał go świętym innej religii i powiedział, że ostateczną instancją, która rozstrzyga o tym, co człowiek powinien, a czego nie powinien zrobić, jest ludzkie sumienie. „Gdybym zobaczył, że taki jest głos jego sumienia, musiałbym to uznać.”

* * *

Jednym z tych, którzy podążyli tropem zapomnianej śmierci Ryszarda Siwicę jest Maciej Drygas, zamieszkały w Łodzi młody reżyser filmowy. Ponad półroczne poszukiwania rodziny, dokumentów, świadków uwiecznione zostały realizacją godzinnego filmu dokumentalnego pt. „Usłyszcie mój krzyk”. Premiera odbyła się w Łodzi 20 maja br.

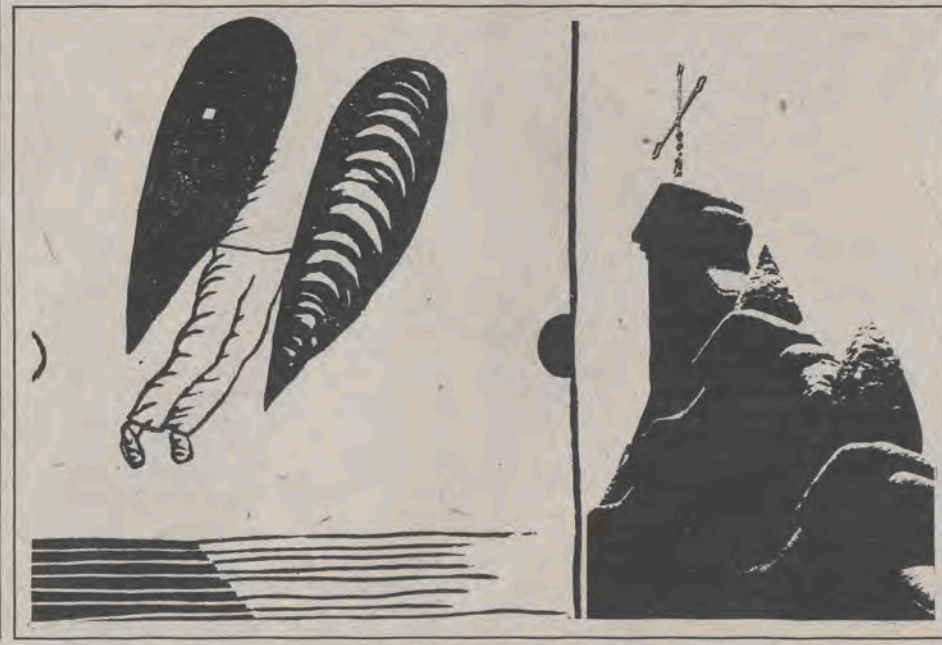
Reżyser stara się po latach nadać sens śmierci człowieka, który na oczach tysięcy ludzi umarł anonimowo, odpowiedzieć na pytanie: jak mogło do tego dojść. Daleki jest przy tym od doraźnej publicystyki i rozliczeń z historią, nie stara się oceniać wyboru Siwicę ani postaw świadków. Mówi o ludzkim losie, kondycji i stanie świadomości naszego społeczeństwa.

Sprawa Siwicę staje się punktem wyjścia do rozważań uniwersalnych. Film nie pozostawia widza obojętnym, skłania do głębokich przemyśleń natury etycznej i odpowiedzi na podstawowe pytania egzystencjalne.

Na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie dokument „Usłyszcie mój krzyk” otrzymał II nagrodę – Srebrnego Smoka.

Monika Matuszak

W tekście wykorzystano fragmenty listy montażowej filmu M. Drygasa „Usłyszcie mój krzyk”.



Lekarze też są ludźmi: wypominają sobie przeszłość, toczą z sobą wojny...

Motto: Łódź należy do miast o najwyższym w Europie wskaźniku osób palących.

Wiceminister zdrowia podjął decyzję o likwidacji Krajowego Ośrodka Zwalczania Palenia Tytoniu w Łodzi. Decyzja ta zbiegła się w czasie z... Dniem bez Papierosa. Lekarz Wojewódzki przyjął ją z zaskoczeniem i oprostował, zaś Wojewódzki Inspektor Sanitarny w Łodzi – z zadowoleniem, jako najlepszą z możliwych. Okazało się, że w sprawie, o której powinny decydować racje merytoryczne, środowisko lekarskie jest podzielone wedle przynależności do wrogich sobie koterii. Krążą takie słowa, jak: podpuszczanie, nomenklatura (stara lub nowa – w zależności, kto mówi), sowytyzacja, korzystanie z układów itd., itp. Ponad białymi kitami unoszą się niewidzialne upiory przeszłości...

Można zaryzykować twierdzenie, że klęska wpisana była w funkcjonowanie Ośrodka już od momentu jego powołania: niby to autonomiczny, w rzeczywistości podporządkowany został Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Dopóki kierownictwo Ośrodka i Stacji pochodziły z tego samego kręgu (trudno powiedzieć: towarzyskiego czy „nomenklaturowego”), dopóty jakoś to razem działało. Aliści, gdy nowym szefem Sanepidu została (w kwietniu) dr Alicja Ciechomska, osoba energiczna, nastawiona rewolucyjnie – doszło do otwartej wojny:

– Ignoruję mnie, jako dyrektora – zwierza się nowa szefowa, pełniąc jednocześnie funkcję Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego – Czy par... że oni ślą do mnie pisma opatrzone własnym znakiem firmowym, na którym nie ma nigdzie Sanepidu?

Pani dyrektor, choć jest kobietą bojową, byłaby pewnie w Łodzi osamotniona, gdyby nie sojusz z przewodniczącą Komisji Zakładowej „Solidarności” przy Sanepidzie, mgr Józefowicz, kobietą jeszcze bardziej bojową, która – jak głosi fama – „wykończyła niejednego ministra”. Ile jest w tym prawdy – trudno dociec, ale jest faktem, że mgr Józefowicz prowadziła zaciętą polemikę z poprzednim wiceministrem zdrowia, Wiesławem Jaszczyńskim, który przyrównał ją nawet do Feliksa Dzierżyńskiego. Bynajmniej nie dlatego, że jest komunistką, lecz przeciwnie – z powodu zapалу w zwalczaniu „nomenklatury”, a konkretnie – poprzedniego dyrektora łódzkiego Sanepidu, docenta T. Górskiego. Czując to porównanie, wiceminister nie przypuszczał zapewne, że wkrótce zostanie odwołany, i to na wniosek „Solidarności” służby zdrowia właśnie...

Jego następca, nowy wiceminister Zbigniew Hałat, jest właśnie tym, który podjął decyzję o likwidacji Krajowego Ośrodka Zwalczania Palenia Tytoniu. Zdaniem większości pracowników likwidowanej placówki, chodzi o nie innego, jak o „zniesienie do końca wszelkich śladów po docencie Górskim”, który – powiadają – „jaki był, taki był, ale był przynajmniej profesjonalistą”.

Na odwołaniu doc. T. Górskiego zaważył protokół Najwyższej Izby Kontroli badającej stosunki w Sanepidzie. Na likwidacji Ośrodka również zaważyła kontrola NIK. Kontrolę tę – przyznaje dyrektorka Sanepidu – zainspirowała mgr Józefowicz. I dobrze, zdaniem szefowej, zrobiła, bowiem badanie NIK przyniosło rezultaty zaskakujące. Wynika z nich, krótko mówiąc, że praca Ośrodka była mało skuteczna, a koszty utrzymania personelu wysokie. Dla przykładu: w poradni odwykowej Oś-

rodka zarejestrowano w 1989 r. 634 pacjentów, zaś w Pracowni Toksykologii Dymu Tytoniowego dokonano 77 spaleń próbek (tytoniu). Zdaniem dyr. Ciechomskiej, dane te są wyjątkowo niskie, wręcz żenujące. Wysoka była za to – dodaje pani dyrektor – absencja chorobowa lekarzy, na co są dowody w postaci badań NIK.

Zastrzeżenia szefowej Sanepidu dotyczą również np. działalności sekcji oświaty i profilaktyki przeciwytykowej Ośrodka. Takie na przykład „sprawozdanie z działalności” tejże sekcji – trzy pierwsze jego punkty brzmią następująco:

– „Przygotowanie i przekazanie materiałów informacyjno-propagandowych wszystkim

ny: Ośrodek jako odrębna całość nie ma racji bytu.

– Ależ to absurd – denerwuje się kierownik Ośrodka, dr Zenobiusz Żołnowski – Na całym świecie powołuje się, w myśl zaleceń Światowej Organizacji Zdrowia, wyspecjalizowane ośrodki do zwalczania tego groźnego nalogu. A my, w imię iluzorycznych oszczędności, właśnie taki jeden, jedyny w Polsce likwidujemy...

Obie strony tego sporu posługują się argumentami ze sfery moralno-politycznej. Dla dr Żołnowskiego „połknięcie” ich Ośrodka przez Sanepid jest niczym innym, jak powrotem do sowieckiej struktury służby zdrowia, narzuconej Polsce przez komunistów. Dla dyr. Ciechomskiej jest to powrót do zdrowej normy, zaś z

ży skutecznej profilaktyki chorób będących następstwem palenia tytoniu.

– Ustalono ponad wszelką wątpliwość – wtóruje mu dr Ewa Kralkowska, przewodnicząca Komisji Zdrowia Rady Miejskiej – że palenie tytoniu jest wyraźnie szkodliwe. Cały świat cywilizowany tworzy podobne ośrodki, jak łódzki. Likwidacja, to po prostu ogromna krótkowzroczność.

Dr Kralkowska, która podobnie jak inni jest zdania, że za decyzją o likwidacji stoją animozje personalne, zauważa przytomnie:

– Być może istotnie Ośrodek kiepsko pracował, trudno mi to ocenić. Jeżeli jednak tak było, to najpierw obowiązkowo zwierzchnika tj. Sanepidu była zmiana tej sytuacji. Dlaczego od razu likwidować?

Podobnie uważa Lekarz Wojewódzki, a także radni z Komisji Zdrowia Rady Miejskiej, którzy postanowili, że zwrócić się do wiceministra o ponowne rozważenie decyzji o likwidacji. Pani dyrektor Sanepidu poproszono tymczasem o zaprzestanie czynności likwidacyjnych. Nie zaprzestała, zamierza bowiem wprowadzić tam jak najszybciej terenową stację Sanepidu ze Śródmieścia. A do „Bezdyмки”, kawiarni wyłącznie dla niepalących na parterze Ośrodka, wstawia się własne automaty do gry. Będzie nowy agent, większe dochody, no i, oczywiście, dymek z papierosa...

– Pani dyrektor jest w swoim prawie – przyznaje dr Kralkowska.

Ale Lekarz Wojewódzki także jest w swoim prawie, gdy zapowiada, że w przypadku, jeśli wiceminister nie odwoła przez decyzji, rozważy się w Łodzi powołanie nowego, całkiem samodzielnego Ośrodka do zwalczania nikotynistów. Być może będzie miał w nazwie przymiotnik – Centralny...

A. Gębarowski

Odwyk na bruku

Księżom Dziekanom w Łodzi. Wizyty w 11 Dekanatatach składano w obecności przedstawicieli Lekarza Wojewódzkiego.

– Wstępne uzgodnienia ogólnopolskiego seminarium (prof. AKT Gogacz, bp. Lepa). Przewidywany termin – październik. Tytuł: „Zdrowie w systemie wartości chrześcijańskich”.

– Przygotowanie i przekazanie materiałów ks. Duszpasterzowi Służby Zdrowia. Cel – rekolekcje dla pracowników służby zdrowia.

Dyr. Ciechomska pozostawia te punkty bez komentarza. A wnioski ogólne? Można je streścić następująco: pracownię toksykologii – przenieść do Stacji, sekcję oświaty – zlikwidować (dubluje się z podobną sekcją w Stacji); pracownię odwykową – zlikwidować, są od tego inne placówki. Wniosek general-

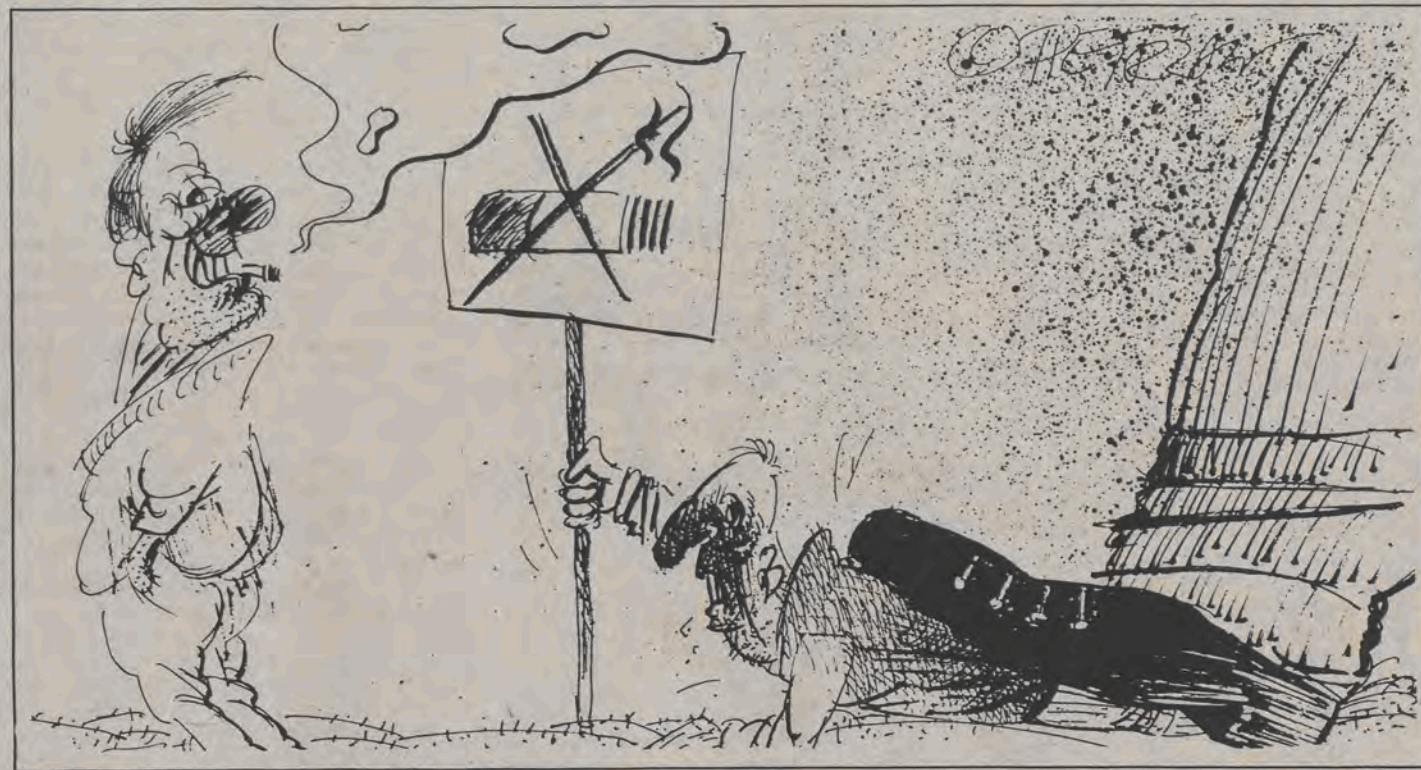
komunistami mają przedzej coś wspólnego pracownicy Ośrodka:

– To byli naprawdę ludzie ze starych układów, korzystający ze swojej wygodnej pozycji – zapewnia.

– Byliśmy w Zarządzie Regionu – zwierają się z kolei lekarki z Ośrodka – aby prosić o pomoc. Przyjęto nas łodowato, byli już uprzedzeni, że jesteśmy trędowaci. To robota „Solidarności” ze Stacji – tak samo postępują z ludźmi, jak nieboszcza partia...

Wraz z ministerialną decyzją o likwidacji Ośrodka spór, utrzymywany dotąd w formalnych ramach Sanepidu, przeniósł się o szczebel wyżej.

– Jako Lekarz Wojewódzki – mówi Jacek Danowski – muszę się troszczyć o zdrowie mieszkańców regionu. Likwidacja ośrodka nie stu-



Poszukujemy radiestety Wiśniewskiego, który podobno leczy HIV...

Świat truchleje wobec rozprzestrzeniającego się coraz gwałtowniej wirusa, całym narodem grozi zagłada, widmo nowożytnego Apokalipsy nie pozwala spokojnie zasnąć uczonym całego świata, w nowoczesnych laboratoriach prowadzone są superkosztowne badania nad zagadką AIDS (jak dotąd bez sukcesu) – a tu nagle dwóch panów dochodzi do wniosku, że wytrzebienie wirusa HIV to przyszczyć na plecach i zlikwidowanie go jest sprawą dziecinnie łatwą.

Dziennikarz Bogdan Nowak z krakowskiego czasopisma „Sexi” rozmawia ze Zbigniewem Wiśniewskim, szczecińskim radiestetą, doktorem medycyny alternatywnej, a rozmowę ich przedrukowuje łódzki tygodnik „Agora”. Panowie ci – siedząc zapewne w wygodnych fotelach i popijając cudowne ziołka – rozmawiają beztrosko, tak, jakby już zdzieli światu tragiczne brzemie z udurzonej głowy. Jest tylko pewien szkopol: w całej rozmowie używa się trybu przypuszczającego (gdyby, być może, potrafiłoby się, itp.), wcale to jednak nie przeszkadza, by wniosek skonstruować kategorycznie: „Jedynym i niepodważalnym efektem kuracji kompleksowej będzie całkowite zniknięcie przeciwciał i tylko takim skutkiem jestem zainteresowany”.

Otóż, według Zbigniewa Wiśniewskiego, wirus HIV można zlikwidować „naturalnymi środkami leczniczymi, czyli jedzeniem, przyprawami, ziołami do picia, jak również ziołami do kąpieli, ponieważ choroba jest chorobą naturalną – należy ją leczyć środkami naturalnymi”. Swoją hipotezę opiera na przypadku 22-letniej rzymianki, Katii Festy, zarażonej wiru-

sem tej potwornej choroby. Po roku przebywania w ośrodku leczenia narkomanów założonym przez księdza Pierrino Gelmini, dziewczyna przestała być nosicielką wirusa, znaczy – wyzdrowiała. Jest to przypadek, którego lekarze nie są w stanie wyjaśnić, a w światowej literaturze medycznej nie ma on precedensu. Dla dra Wiśniewskiego natomiast, sprawa jest niezwykle prosta: „najlepszym lekiem przeciw tej strasznej chorobie to praca, ruch, warzywa,

Ziołka na przeciwciała?

owoce i zboża, które w cudowny sposób wzmacniają układ immunologiczny człowieka”. Tyle, że swój kardynalny wniosek opiera na dość wątpliwym przypuszczeniu, wypowiedzianym jednak nie mniej kategorycznie, niż pozostałe: „ze swej strony mogę dodać, że księdza n a p e w n o (podkreślenie – MK) nie było stać na drogie dania mięsne, a tylko na najprostsze i najtańsze potrawy składające się z warzyw i owoców... Wiemy również, że podstawowym czynnikiem stosowanym przy leczeniu narkomanów jest w miarę ciężka praca fizyczna, potrzebna do wypocenia trucizn z organizmu. Można by się tu zaważyć: jak zmusić do ciężkiej pracy fizycznej cień człowieka, który mu nawet leżenie sprawia ból?

Na zakończenie rozmowy dziennikarz Nowak podaje wykaz chorób, jakie leczy dr Wiśniewski i prosi o listy. Piszą więc ludzie do cu-

dotwórcy, widząc w nim szansę i ostatnią nadzieję. Listy przechodzą przez ręce Nowaka, który „trzyma temat” na wyłączność.

Postanowiłem dotrzeć do doktora. Do redakcji „Sexi” zadzwonić nie można, gdyż nie ujawnia numeru telefonu. Jechać z Łodzi do Krakowa po adres, to absurd. Skoro dr Wiśniewski zna sposób na „dżumę XX wieku”, musi być niezwykle popularny w swoim mieście. Świat pasjonuje się przecież wyścigiem uczonych ze śmiercią i nawet cień na-

dziei opisywany jest na pierwszych stronach gazet. Człowiek, który wie jak uwolnić świat od tego strupa, nie może być niezany – kombinowałem.

Pojechałem więc do Szczecina „w ciemno”, ale na pewniaka. Na dworcu nie wiedzieli, takśówarke rozkładali ręce, na poczęcie głównej też. Zaczęły się rodzić wątpliwości. W red. „Głosu Szczecińskiego” wskazano mi ośrodek, gdzie zajmują się różnymi niekonwencjonalnymi metodami terapii, a tamtąd skierowano mnie do Towarzystwa Psychotronicznego, gdzie pani sekretarka poszukiwała w pamięci, po czym oświadczyła, że kiedyś słyszała o takim, ale to hochsztapler bez matury i mieszka w dzielnicy Pogodno.

Jednak i na Pogodnie nikt nie wiedział. W kioskach „Ruchu”, aptekach, sklepach mięsnych, przychodniach zdrowia i na policji kiwno przecząco głowami. Proboszcza akurat nie było,

ale jeśli w „Magłowaniu parowym” nie wiedziano, to pewnie i proboszcz by nie pomógł, ze wszystkimi swymi godnymi szacunku koneksjami.

W gorącej głowie, rozeźlonej pocuciem zmarnowanego czasu, zaczynają buszować złe myśli. Czy nie jest to aby jakaś lipa, kaczka dziennikarska, wymyślony temat, nośny przecież społecznie, podpierający pismo „Sexi”, którego charakter nie gwarantuje już dziś powodzenia jak kiedyś. Przykład popularności „Skandali”, gdzie drukuje się kosmiczne głupoty na użytek niedorozwiniętych – bo to nawet nie jest zabawne – mógł podsunąć pomysł na wymyślenie chwytliwego tematu. Szczelność, jaką otoczono Wiśniewskiego, brak telefonu redakcji, przepływ listów przez ręce redaktora Nowaka i kompletna nieznajomość człowieka w jego mieście – mogą wszelkie podobne podejrzenia tylko umacniać. Choć, z drugiej strony – rozumiem, że obawa przed tłumami szturmującymi mieszkanie doktora jest uzasadniona. Nie można jednak ukrywać przed śmiertelnie zagrożonymi ludźmi sposobów ratunku, w dodatku, gdy medycyna „normalna” jest bezradna. Bo jak nazwać uchylene się od odpowiedzi, ile i jakie zioła stosować, by zniszczyć wirus HIV? Tłumaczenie, że wynika to z obawy przed posądzeniem o chępliwość, jest przykładem hiperhipokryzji. Albo...?

Wracałem do Łodzi z niczym. Chociaż, nie: wracałem wewnętrznie zbuntowany, z głębokim przekonaniem, że większą zbrodnią jest rozpalać płonnych nadziei, niż jej brutalne odebranie.

P.S. Ale ja szukać będę dra Wiśniewskiego. Temat jest zbyt ważny i poważny, by go porzucić. Może ktoś z Państwa wie więcej? Proszę o kontakt.

Marek Koprowski

„Podobno słynę z despotyzmu...”

Gdy przed dziewięcioma przeszło laty późnym wieczorem opuszczaliśmy gmach Teatru Wielkiego po udzieleniu mi przez Pana pierwszego łódzkiego – właśnie dla „Odgłosów” – wywiadu, za nic w świecie nie chciał się Pan wpisać do służbowej „księgi wyjść” podsuwanej przez gorliwą a nie znającą Pana jeszcze portierkę. W tej pierwszej rozmowie tryskał Pan optymizmem, a jej zabawna pointa miała dla nas zgoła metaforyczny wymiar.

– Do „księgi wyjść” dyrektorów Teatru Wielkiego w Łodzi, której karty los przekładał wtedy niemal co roku, istotnie wpisywać się nie chciałem, bo przyszedłem tu z postanowieniem, że wytrwam i bardzo chciałem utrzymać się na swoim stanowisku przez... pięć lat. Jeśli zaś wpisuję się w nią po latach niemal dziesięciu, to nie dlatego, iż pożegnałem się z optymizmem – bo jakże miałbym rozstać się ze swoją naturą? – lecz by sprostać kolejnemu zadaniu, którym los – w osobie ministra Rostworowskiego – tak zaskakująco mnie zaszczylił. Żegnając się z Łodzią z prawdziwym żalem, a dowodem na to, jak bardzo stała mi się bliska, niech będzie zapewnienie, że jeśli kiedykolwiek miałbym gdzieś wrócić, to właśnie do niej.

– „Wytrwam”, „utrzymać się”... Czy objęcie dyrekturą łódzkiego Teatru Wielkiego było wtedy desperackim aktem straceńczej odwagi?

– Desperackim? Ależ nie! Byłem pełen nadziei, że właśnie tu uda mi się zrealizować tę wizję teatru operowego, którą nosiłem w sobie od lat. Jednak czas – proszę sobie przypomnieć wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne okoliczności, takie choćby jak frustracja żyjącego w kilkuletnim stresie zespołu czy napięcie, jakie towarzyszyło naszemu życiu w stanie wojennym – nie pozwalał na absolutną pewność powodzenia zamierzonych przedsięwzięć, więc ciemny niepokój, nie odbierając mi wiary, kładł się również i na mnie. Wspomnienie tego niepokój, niepokój o słusność podejmowanych decyzji, o właściwy wybór środków, o kierunek proponowanych rozwiązań, wspomnienie owych obaw przybłąkało tylko w moim otoczeniu, ale we mnie ono wciąż żyje. Mojej decyzji nie towarzyszyła desperacja, wręcz przeciwnie: podejmowałem ją z namysłem, rozważa i radością. Znałem Łódź z wielu wcześniejszych, prywatnych i służbowych wizyt. Przyjeżdżałem tu do wujostwa i licznych przyjaciół, oglądałem bardzo interesujące przedstawienia, podziwiałem gwiazdy operowej sceny, kiedyś nawet – powiem to Pani w sekrecie – kochałem się w jednej z łódzkich tancerek. Proszę mnie nie pytać czy nie bałem się „złego miasta”, bo nie znałem tego fałszywego mitu, a pracując tu nie doświadczyłem go i na tej podstawie śmiało twierdzić, iż jest on auto-tworem. Łódź wcale nie cieszy się złą sławą i nigdzie poza nią samą nie ma opinii „złego miasta”. Tę opinię przez lata tworzyły jakieś bliżej nie zidentyfikowane siły miejscowe. Ja sam wielokrotnie namawiałem łódzką władzę, by odbyły nad owym mitem jakieś skuteczne egzorcyzmy, bo – jak zły omen – wbiła on Łódź w niepotrzebne a szkodliwe kompleksy. To miasto szeroko otwiera ramiona przed każdym, kto obdarzy je uczuciem. Nie jest piękne, ale życzliwością dla artystów rekompensuje swą „trudną” urodę.

– Często słyszy się narzekania na łódzką publiczność. Mówi się o niej, że niewyrobiona, nieokreślona, niewdzięczna...

– Nic bardziej błędnego! Taka opinia to po prostu potwarz!!! Wiele podróżuję, bywam w różnych teatrach i nie znam lepszej publiczności, niż ta, która nasz teatr zaszczyca swoją obecnością i życzliwością. To najwspanialsza publiczność na świecie. Bardzo wrażliwa, chłonna, sprawiedliwa i spontaniczna. Łódzka publiczność urzeka świeżością reakcji prawdziwie emocjonalnych. Ta jej emocjonalna wrażliwość jest wielkim skarbem, o który trzeba bardzo dbać. Ta publiczność w większości – bo grupa ludzi o wysoce wykształconym nawyku stałego kontaktu z operą i muzyką symfoniczną istotnie nie jest jeszcze zbyt liczna – wymaga dostarczania jej takich stałych i częstych bodźców artystycznych, które będą poszerzać bardzo już rozległy krag jej zainteresowań, upodobań i pragnień. Łódź ma i będzie miała wspaniałą publiczność! Mówię także „będzie miała”, bo proszę spojrzeć na tłum uczestników naszych Warsztatów Operowych, którzy w niedawnej rozmowie ze mną nazwali się absolwentami pięcioletniej Akademii Wiedzy o Operze i Baletcie. Stosunek łódzkiej publiczności do naszego teatru jest naszym największym sukcesem.

– Pasmem Pańskich sukcesów nazwać można niemal siedemdziesiąt premier zaprezentowanych publiczności w ciągu ostatnich dwięciu lat.

– Premiery były sukcesem zespołu, stworzenie warunków dla ich realizacji było moim

obowiązkiem. W tej materii sukcesów osobistych upatrywać mi nie wolno.

– Do Pana jednak należały decyzje repertuarowe...

– Choć podobno słynę z despotyzmu, to jednak wszystkie decyzje repertuarowe podejmowałem konsultując je uprzednio z kierownikami muzycznym.

– Na czele żywych w naszej pamięci wszystkich dzieł, jakie wprowadził Pan do repertuaru znajduje się beethovenowski „Fidelio”, którym zainaugurował Pan swoją kadencję.

– Żywy odbiór tego arcydzieła przyniósł mi wiele satysfakcji, choć mam świadomość, iż jego inscenizację odbierano bardziej przez warstwę znaczeniową czy też raczej ideową, niż muzyczną. Fakt, iż kiedyś bijące źródło siły ożyło dzięki genialnej muzyce Beethovena i głębokiemu przesłaniu treści jego opery, dostarczył mi szczególnych przeżyć.

Odchodzę z żalem

Rozmowa ze Sławomirem Pietrasem



– „Idąc za ciosem” sterował Pan teatralną nawa po wodach operowej klasyki.

– Bo to są wody najczystsze i najbezpieczniejsze. W nich dobrze czuje się widać szukając u nas bądź to silnych emocji bądź ukojenia. Odbiorca ciekawy nowych, nieoczekiwanych doznań mógł je znaleźć w repertuarze naszej sceny kameralnej, gdzie częściej gościły utwory kompozytorów współczesnych, bądź też w spektaklach baletowych, gdzie symbioza współczesnej treści i awangardowej formy jest bardziej oczywista i, że tak powiem, lepiej i łatwiej przyswajalna.

– Wiele uznania zaskarbił Pan sobie szczególnie starannym doбором realizatorów. Kierownictwo muzyczne, reżyserię, scenografię, choreografię, przygotowanie chóru oddawał Pan zawsze w najlepsze ręce. Nazwiska współpracujących z naszym teatrem inscenizatorów mogłyby stać się ozdobą każdego afisza w najlepszych ośrodkach operowych.

– Za nazwiskami zapraszanych przez nas twórców kryje się ich talent i doświadczenie, wielkie umiejętności warsztatowe, a przede wszystkim – ich wspaniałe wizje inscenizacyjne, których konkretyzacje tak życzliwie przyjmowała łódzka publiczność. Maciej Prus, Adam Hanuszkiewicz, Ryszard Peryt, Marek Okopiński, Eugeniusz Korin, Marek Grzesiński i wielu twórców zagranicznych, spośród których wymienię ostatnio reżyserującą u nas Fedorę Barbieri, mają swój wielki udział nie tylko w kształcie zrealizowanych przez siebie przedstawień, ale w całym obliczu naszego teatru, który stał się także miejscem wspaniałych debiutów i wielkich objawień prawdziwych talentów wokalnych, tanecznych i choreograficznych.

– Takim objawieniem był z pewnością wybuch i niezwykły wprost rozwój talentu choreograficznego Ewy Wycichowskiej, niegdyś doskonałej łódzkiej tancerki, dziś – najlepszego polskiego choreografa i dyrektora Polskiego Teatru Tańca.

– Cieszę się, że mogłem być świadkiem tego zjawiska.

– Chyba jest Pan zbyt skromny! Wiemy, że był Pan „ojcem duchowym” tego objawienia.

– Kariera Ewy-tancerki osiągnęła swój szczyt przed objęciem przeze mnie stanowiska dyrektora Teatru Wielkiego, a jej talent choreograficzny był tak wielki, że eksplodowałby także bez jakiegokolwiek duchowego ojcostwa. Mogę sobie pogratulować, wszyscy winni mi sobie pogratulować, że w Łodzi dokonała się ta eksplozja. Dziś przyznam nieskromnie, że błogosławiąc Ewę na nową drogę jej artystycznego życia zadeklarowałem gotowość służenia jej radą w kierowaniu Polskim Teatrem Tańca, ale ona od razu tak doskonale prowadziła zaczęła swój poznański zespół, że już po kilku tygodniach przestała do mnie dzwonić.

– Najwyraźniej unika Pan odpowiedzi na pytanie o własne sukcesy!

– Bo nie mam własnych sukcesów. Wszak nie śpiewam, nie tańczę, ani nie dyryguję orkiestrą. Moim sukcesem może być tylko sukces teatru, ale ten jest przede wszystkim sukcesem artystów. Dyrektorzy są od porażek. „Sukcesy wasze – porażki nasze” – przez dziewięć lat powtarzałem to swojemu zespołowi. I zapewniam panią, że czyniłem to bez kokieterii. Jeśli jednak miałbym mówić o własnych sukcesach

– bo widzę, że nie zwolnił mi pan z tej kwestii – to powiem o pewnym ważnym dla teatru powołaniu organizacyjnym. Nie pozbywając się nikogo, szczerze wielbiąc doświadczonych, od lat związanych z tą sceną artystów, zapewniłem jej obecność nowego pokolenia: owej wspaniałej artystycznej młodzieży, która kontynuować będzie dzieło swych starszych kolegów, która dziś, i oby jak najdłużej, pracuje z pokoleniem doświadczonych śpiewaków, a w przyszłości zajmie ich miejsce. Nasz teatr przez kilka najbliższych lat nie musi nikogo doangazowywać bo „ma kim grać”. Cieszę się, że ta dokonana przeze mnie wymiana pokolenia nikomu nie sprawiła bólu. Wiele satysfakcji dało mi także trwałe wpisanie naszego teatru w zachodnioeuropejski rynek artystyczny. Ale nasze europejskie miejsce jest konsekwencją osiągnięć zespołu. Fakt, że odbyliśmy wspaniałe stagione włoskie, że wprowadziliśmy Moniuszkę do Francji i ponad sto spektakli mozartowskich zaprezentowaliśmy w Niemczech jest czymś zupełnie szczególnym i zgoła nadzwyczajnym. Byliśmy w szesnastu krajach Europy, oklaskiwano nas nawet w Turcji i Egipcie. Udało nam się zdobyć stałe miejsce na operowej mapie teatrów o zasięgu i znaczeniu międzynarodowym.

– Zespół Teatru Wielkiego jednogłośnie twierdzi, iż płynące ku niemu zaproszenia na występy zagraniczne zawdzięcza Pańskim kontaktom. Dziś wyraża też niemałe obawy, że wraz z Pańskim odejściem skończą się jego zagraniczne wojaże.

– Nie podzielam tych obaw, bo łódzki zespół ma dobrze i głęboko ugruntowaną wspaniałą opinię w wielu krajach i miastach Europy. Będzie w nich z całą pewnością zawsze chętnie widziany, a co więcej – będzie oczekiwany. Nie mogę jednak nie przyznać, iż kwestia podtrzymania tych kontaktów będzie zależeć od chęci ich kontynuowania i rozwijania. Nie wątpię, iż znajdzie ją w sobie mój następca, jeśli jego chęcią towarzyszyć będą pewne niezbędne umiejętności menażerskie. Oby także w tej sprawie udało mu się zdziałać znacznie więcej niż mnie.

– Unika Pan konstatacji własnych zasług i – jak widzę – chętnie ucieka Pan ku określeniu „udało się”, choć nie uda się Panu przekonać naszych czytelników, że dzisiejsza znakomita kondycja artystyczna Teatru Wielkiego, który dysponuje repertuarem „od Beethovena do Pendereckiego” jest wyłącznie sprawą szczęśliwej konstelacji gwiazd, zbiegu okoliczności lub dziełem przypadku, owego „udawania się”. Wszyscy wiemy ile trzeba pracy, wytrwałości i uporu, ile trzeba poświęceń, by osiągnąć taki efekt. A przecież bywają jeszcze tzw. „życzliwi”, bywają też porażki, czasem się „nie udaje”...

– Och, „życzliwych” – piszących anonimy, składających donosy, biegających na skargę do komitetów partii (dawniej) i do „Solidarności” (niedawno) – było wielu! No cóż: „widziałem, ale zapomniałem”. Nie chcę pamiętać. Nie udało się niewiele. Porażek było mało. Chyba dwie. Jedna szczególnie bolesna. Odczułem ją jako osobistą klęskę. I ta sprawa wciąż mimo, upływu lat boli mnie tak samo. Przed kilku laty administracyjną decyzją zabroniono mi (notabene na etapie zaawansowanych prób) realizacji „Strasznego dworu”. Pismo, dwuzdaniowe, którym obwieszono mi tę decyzję, przechowuję do dziś jako rzecz zgoła kuriozalną: świadectwo, które ktoś wystawił sobie i tamtej, minionej epoce. Mielśmy prezentować ten spektakl w Lyonie, do którego wieziono nas prosto z Sycylii. Niczego nie można było odwołać. Powinienem złożyć wtedy rezygnację, a ze względu na wielkie prestiżowe zagraniczne tournée zespołu nie mogłem zrobić niczego.

Straciłem twarz wobec twórców spektaklu. Wiem, że nie mają do mnie pretensji, ale tu nie chodzi o pretensje, chodzi o zasady! A ja nie mogłem zrobić, nie mogłem zrobić tego, co powinien zrobić człowiek honoru, bo realizacja wcześniejszych, bardzo skomplikowanych ustaleń, od których odstąpienie spowodowałoby prawdziwą międzynarodową katastrofę operową była ważniejsza niż mój honor. Proszę sobie wyobrazić, nie umiałem się obronić przed decyzją szkodliwą i głupią! Jeszcze dziś nie mogę ani myśleć, ani mówić o tym spokojnie! To była mój o j a porażka. Najcięższą, jaką przyszło mi przeżyć. Nie udało mi się też zaprezentować przygotowanego przez Ewę Wycichowską baletu o św. Franciszku w atmosferze świątyni katolickiej. Biskup ordynariusz diecezji łódzkiej bardzo nam sprzyjał. Na realizację tego przedsięwzięcia nie wyraziły zgody władze partyjne. Jacyś funkcjonariusze niemrawo, ale skutecznie snuli jakieś dywagacje o jakichś racjach, do których najwyraźniej sami nie byli przekonani, ale mieli władzę i musieliśmy się poddać. Wspominam to z grozą i goryczą. Nie narzekam na Łódź. Z możliwością porażek trzeba się liczyć, ale tej pierwszej nie mogłem przewidzieć w najgorszych nawet snach.

– O czym śni dyrektor teatru? O władzy absolutnej? Podobno jest Pan tyranem nie uznającym żadnej demokracji.

– Jeśli mówią o mnie, że jestem tyranem to znaczy, że jestem dobrym... aktorem. Dziś nie można być tyranem. Niebezpieczeństwo popadania w despotyzm czai się wszędzie, ale taki model dyrektora opery byłby skazany dzisiaj na niepowodzenie. Sztuka nie znosi złe pojętej demokracji – to prawda, ale dyrektor musi postępować przynajmniej wedle czwórzających ją reguł. Dziś dyrektor teatru musi być wszystkim: despotą i niańką, czułą mamusią i surowym ojcem, czasem musi się mizdrzyć jak przysłówowa dziwka do policjanta, czasem zaś demonstrować wyniosłość salonowej damy. Życie różnicuje środki ekspresji, jakie muszą być stosowane w kontaktach ze środowiskiem. Im większy ich zasób, tym lepiej.

– Czy to właśnie przekazałby Pan jako radę swojemu następcy?

– Swojemu następcy nie ośmieliłbym się przekazywać żadnych rad. Wiem z własnego doświadczenia, jak złe przyjmuje się rady. Ilekroć ktoś radził mi coś zbyt usilnie – postępowałem zupełnie inaczej. Swojego następcę, jeśli mi na to pozwoli, chciałbym tylko prosić, by przyjrzał się uważnie stanowi teatru i wyciągnął wnioski. Życzę mu wielu satysfakcji i tego by nie doświadczył żadnych rozczarowań, jakże dlatego, że osłabiają one siłę naszego działania. Skoro jesteśmy przy kwestii następcy to proszę, by pozwoliła mi pani powiedzieć, że bardzo bym chciał, by rozstrzygając tę kwestię nie popelniono niezręczności personalnej. Tego postulatu nie wolno mi sformułować inaczej, będę więc wdzięczny, jeśli zechce pani tak właśnie go zanotować. A jeśli mógłbym coś jeszcze dodać to powiem, że choć żał mi, iż moja kadencja nie sięgnie dwudziestopięcioletnia Teatru Wielkiego, które przypada w 1992 roku, to cieszę się, iż tak wdzięczne zadanie i wielką przyjemność organizowania jubileuszowych obchodów będzie miał mój następca.

– W teatrze i „w mieście” mnożą się zakłady nie tylko o to, kto nim będzie, lecz także o to, jak szybko – obawiamy się Wielki warszawski – odbierze Pan łódzkiemu Teatrowi palmę pierwszeństwa wśród naszych operowych scen, jak też i o to, kogo z najlepszych artystów weźmie Pan ze sobą do stolicy.

– W warszawskim Teatrze Wielkim będę pracował z takim samym zapałem, z jakim czyniłem to w Łodzi. Łódzkiemu Wielkiemu przybędzie więc konkurencja. To naturalne. Mam jednak nadzieję i mówię to z pełnym przekonaniem, iż ta konkurencja, tak niezbędna w sztuce, będzie dla łódzkiego Teatru Wielkiego doskonałym motorem napędowym i skutecznym bodźcem do jeszcze lepszej pracy i jeszcze większych sukcesów, których mu szczerze życzę i z których będę się bardzo cieszył. Co się zaś tyczy zabierania ze sobą śpiewaków z Łodzi, powiem od razu, że bardzo chętnie będę ich zapraszać na gościnne występy i myślę, iż uraduje to łódzian, jeśli dowiedzą się, że ich artyści śpiewają na stołecznej scenie. Jestem przekonany, że życie zmusi wszystkich dyrektorów teatrów operowych do zrewidowania sposobów wykorzystywania naszych śpiewaków. Łódzianie śpiewają we Wrocławiu, poznaniacy w Łodzi, warszawiacy jadą nieraz zaśpiewać jedną partię w Bytomiu. Rynek pracy dla gwiazd jest rynkiem ogólnopolskim i – zarówno teraz jak i w przyszłości – także międzynarodowym. Na pewno nie pozbawię Łodzi żadnego ze świetnie rozkwitających tu talentów. Mówiąc że Łódź jest mi bardzo bliska, mówię szczerą prawdę, bardzo ją lubię i przez długie lata chciałbym cieszyć się jej wzajemnością.

– Myślę, że wolno mi zapewnić Pana o tym w jej imieniu, co – proszę mi wierzyć – czynię z prawdziwą, także osobistą przyjemnością. Dziękuję za rozmowę.

rozmawiała:
Ewa Pankiewicz



Podstuchane Podpatrzone Odnutowane

redaguje BOHDAN GADOMSKI

Mirosława Marcheluk nie poddaje się uczuciu nienawiści!

Za kulisami teatru

Dziś zajrzyjmy za kuliszy Teatru Nowego w Łodzi, gdzie nie tak dawno aż kipiło wśród aktorów mających odmienne od dyrekcyj poglądy na temat prowadzenia współczesnego teatru dramatycznego w nowych, polskich warunkach finansowych.

Na miejscu mówiono, że znana aktorka (także filmowa) Mirosława Marcheluk (obecnie dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Nowego w Łodzi) nie może się porozumieć z zespołem aktorskim i otrzymała wotum nieufności. Ludzie lepiej poinformowani mówili, że sama złożyła dymisję, a jeszcze więcej wiedzący, że przedtem zwołała (czyli nie podpisała umów z 15 aktorami na nowy sezon). Teatr Nowy skierowano do kapitalnego remontu, w wyniku którego będzie zamknięty na długo, długo a później zlikwidowany. Mało tego, nie oszczędzono tak intymnej sfery życia Mirosławy Marcheluk, jaką jest tajemnica zachowania przez nią wciąż młodej, świeżej cery, co aktorka zawdzięcza... odtowowi, który w nadmiarze stosuje do przeróżnych celów, nie tylko konsumpcyjnych. A tymczasem...

Wotum nieufności dla Mirosławy Marcheluk nie było. Prawda jest, że krucha psychicznie istota nie wytrzymała napiętej atmosfery panującej w teatrze a dotyczącej także i jej osoby i złożyła dymisję z dniem 1 września. Miała własny program prowadzenia teatru, a fakt, że na walne zebranie nie przyniosła kartki z repertuarem na nowy sezon nie oznacza, że napisała go na kolanie w czasie przerwy w obradach.

Z kolei będąc dyrektorem teatru miała prawo nie podpisywać umowy o pracę z Januszem Kubickim, ale na ten temat nie chciała wypowiadać się publicznie. Zainteresowany aktor podobno wie – dlaczego? Piotr Krukowski samodzielnie doszedł do wniosku, że najwyższa pora na zmianę teatru i będzie teraz mógł grać z żoną Barbarą Marszałek. Za to była dyrektorka Anna Grzeszczak, ma się świetnie i po zostanie na nowy sezon w teatrze. Co do małżeństwa Pawlaków, to mówi się, że Iwona Katarzyna odeszła, bo otrzymała znacznie atrakcyjniejszą propozycję od dyr. Korina z Teatru Polskiego w Poznaniu, a mąż Jacek Pawlak wyjeżdża za granicę (i słusznie, bo nareszcie ubezwłasnowolniona żona odblokowała się psychicznie i być może zacznie grać jak ongiś...).

Z teatru odeszło kilku emerytów, w sumie zespół aktorski zmniejszył się o 5 osób, ale przyjęto now

wych aktorów (w sumie będzie i tak ok. 40 aktorów na etatach!).

Wbrew opinii Teatr Nowy w Łodzi, finansowo ma się najlepiej spośród wszystkich łódzkich scen, a i artystycznie było tu lepiej niż gdziekolwiek.

Nawet znalazł się pieniądze na renowację dachu i dzięki temu teatr będzie mógł funkcjonować na swoich dwóch scenach.



Foto: Janusz M. Tylmen

Kto będzie nowym dyrektorem Teatru Nowego w Łodzi, nie wie nikt. Urząd Wojewody – również. Ale faktem jest, że Mirosława Marcheluk pozostanie w teatrze na etacie aktorskim, co reżyserzy uważają za akt sporej odwagi. Jeżeli chodzi o ościsłość, pani Mirosława przyznaje, że rzeczywiście go używa, ale dodaje, że dobrą cerę zawdzięcza nie odtowowi, lecz temu, iż nie poddaje się uczuciu nienawiści. I to również należy skrzętnie w naszej rubryce odnotować.

Lista zasług Teatru im. Stefana Jaracza powiększyła się o kolejną pozycję, jaką jest unaocznienie dorosłej publiczności – za sprawą bardzo dobrej, inteligentnej i przewrotnej inscenizacji SZELMOSTW LISA WITALISA – faktu, iż Jan Brzechwa nie tylko „dziecięcym wielkim poetą był”, ale że twórczość jego stanowić może inspirację ciekawych działań teatralnych i źródło głębokiej refleksji.

* * *

Wśród wszystkich lisich przymiotów, które – jak w „Słowniku symboli” pisze Władysław Kopaliński – czynią to zwierzę „symbolem oszustwa, złodziejstwa, fałszu, obłu-

Jan Brzechwa dla dorosłych

dy, pochlebstwa, krwiożerczości, tchórzostwa, niewdzięczności, egoizmu, mściwości, obłudnego kaznodziei, podstęp, forteli, przebiegłości, przechytnej chytrłości, sprytu, samochwalstwa, pociągu piciowego, podłości, samotnictwa, ostrożności, skrytości, cierpliwości” na ogół choć niewiadomo dlaczego (może ze zrozumiałej skądinąd niechęci) nie wymieniano się dotychczas inteligencji i towarzyszącego jej dość znacznego jak się zdaje talentu wspartego niemałymi uzdolnieniami i umiejętnościami.

Wybitnym znawcą lisiego charakteru był – o czym do tej pory wiedzieli tylko dzieci – Jan Brzechwa. Wnikliwy badacz jego twórczości bez najmniejszego ryzyka błędu może nawet (jak czyni to w programie teatralnym Maciej Karpiński) nazwać go najznakomitszym lisoznawcą i chytrusologiem. SZELMOSTW LISA WITALISA są z całą pewnością podstawowym, a ze względu na swą wartość wręcz koronnym dziełem opanowania przez Brzechwę tych jakże ważnych dyscyplin. Dzieło to prezentuje lisa jako zjawisko, a czyni to zarówno w aspekcie teoretycznym, jak i w perspektywie historycznej.

* * *

MIKOŁAJ GRABOWSKI autor scenicznych SZELMOSTW LISA WITALISA zachwylił nas zarówno umiejętnością doskonałą, wnikliwej analizy tekstu, jak i nadzwyczajną, a bliską instynktowi wyobraźnią, która pozwoliła mu własną wizję teatralną

wpisać w teksty Brzechwy, po czym tak właśnie wzbogaciwszy je, zaprezentować te małe arcydzieła tylko z pozoru niewinnego bajkopisarstwa. Podążając wraz z nim za Lisem (a Ogoniasty umie gubić za sobą pogonie) podążamy przez kolejne etapy naszej najnowszej, powojennej historii, w którą zmieniając nie tylko style, ale jak się okazuje także oblicze, wpisywały się również nasze teatry, zespoły i gwiazdy estrady...

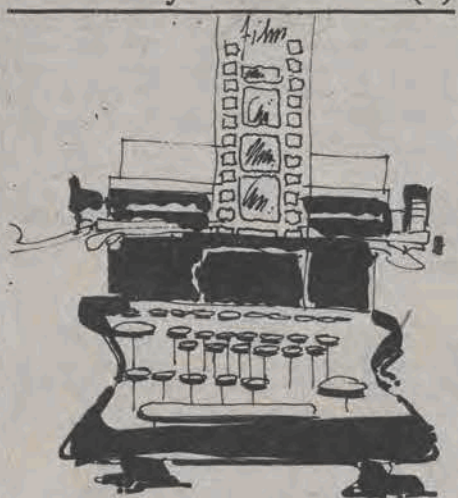
To prawda: w najnowszej, powojennej historii my – widzowie i artyści teatru, filmu, kabaretu i estrady wszystko przeżywalimy razem. Wspólnie śpiewaliśmy masowe pieśni, dzieliliśmy radość Październikowej Odwilży, zachłystywaliśmy się ożywczym wiatrem zza „żelaznej kurtyny”, wspólnie zgłębialiśmy aspekty egzystencja-

* * *

lizmu, wspólnie „wadziliśmy się z Bogiem”, z entuzjazmem braliśmy udział w przemianach i kampaniach. Artystyczne akcje i nasze reakcje unaocznili nam reżyser widowiska. Zobaczyliśmy w nim także siebie, swoje zmieniające się nastroje, preferencje i upodobania, ewolucję własnych poglądów i przekonań. Portret niezwykle udany, lecz skądś z cicha rozlega się chytry lisi śmiech...

Ewa Pankiewicz

Narodziny kina w Łodzi (1)



WŁodzi od 1896 r. przez 5 lat gościło muzeum – panopticon Karola Stefana mieszczące się na rogu Narutowicza i Sienkiewicza. W 1897 r. dużą publicznością cieszyło się muzeum – panopticon braci Mech przy ul. Kościuszki 7. Rozrywka, jaką serwowano w nich publiczności balansowała na pograniczu cyrku, teatru dziwów i muzeum ciekawostek. Starano się prezentować wszystko, co mogło zainteresować ówczesnego odbiorcę, np. woskowe figury mechaniczne „oddychające i przewracające oczyma”. Zwiedzających groziła przejmowała Kleopatra, „kasa na co sekund parę przez zjadliwą żmiję” lub „pan Torquemada, który z lubości obraca głowę na tę i ową stronę”. Pokazywano też fenomeny natury: cię z głową podobną do ludzkiej i psimi nogami, barana z jedną głową i dwiema twarzami. Dział anatomiczny, aby podkreślić pikantność zgromadzonego tam zbiorów udostępniany był głównie dla panów; dla pań czynny był tylko w niektóre dni o wyznaczonych porach.

Z elementami dekoracji zapoznawano się w panoramach i kosmogramach, które obwożono w specjalnych budach. Za parę kopiejek pokazywa-

no dużych rozmiarów obrazy „kiepskie w rysunku i ohydne w kolorze, ale przedstawiające sceny wstrząsające”. Panorama zamknięta była w pudle zaopatrzonym we wmierniki, przez które oglądało się w powiększeniu ryciny umieszczone we wnętrzu. Niejednokrotnie przesuwano przed okiem widza długie, wielobarwne taśmy papierowe z obrazami pochodów, widoków itp. Wszystko to wymalowane żywymi wręcz jaskrawymi kolorami, było realistyczne w szczegółach. Wrażenia wizualne wzbogacano często muzyką. Na stałe panoramy zaczęły gościć od 1896 r. Jedną z nich znajdowała się przy Pasażu Szulca (1 Maja). W niej od 1900 r. pokazywano „Obleżenie Paryża”. W Muzeum Kreutzberga w 1898 r. panorama przedstawiała „Chrzest Rosjan w 988 r.” i „Rzymską wyprawę krzyżową w 1400 r.”

Maszynki do złudzenia

Do rozrywek łódzkiej publiczności na przełomie XIX i XX w. należał również photoplastikon przy ul. Piotrkowskiej 69. Pokazywał on, przy zmianach dwu lub cotygodniowych, różne widoki ze wszystkich stron świata.

Wszystkie te wydarzenia kulturalne, posiadające wspólny mianownik sztuki popularnej spełniały określone oczekiwania odbiorców. W ich granicach doskonale mieściły się ożywione fotografie. Różnorodność rozrywek, z jakimi spotykali się łodzianie, podobnie jak i mieszkańcy innych miast spowodowała, że nowy wynalazek stulecia spotkał się równie w Łodzi z zainteresowaniem i przychylnym przyjęciem. Kino stanowiło przedłużenie a zarazem integralną część znanych wcześniej widowisk.

Miasto zetknęło się z ruchomymi obrazami już w 1891 r. przy okazji przybycia z zagranicy niejakiego Bremera. Z wojaży przywiózł on i zaprezentował znajomym w Grand-Hotelu, w którym zatrzymał się, urządzenie zwane elektrotachiskopem. Szybko, bo tak również nazywano go w Polsce, prezentowano także w Warszawie, gdzie „w budzie, na ekraniku formatu fotografii gabine-

przesadzającego przeszkodę, ćwiczenia gimnastyczne itp. krótkie scenki powtarzane w kółko”.

W Łodzi oglądający zachowali w pamięci następujące ruchome obrazy: „psa biegnącego i poruszającego pyskiem i ogonem, dżokeja przesadzającego bariery w wyciągniętej galopie, chłopców jadących na trycyklu, powiewających kapelusami i klaskających w dłonie, człowieka zażywającego tabakę, poruszającego przy tym nosem, ze zmieniającym się wyrazem zadowolenia na twarzy”. Ruchome obrazy pokazywane były również w 1895 r. na placu, który zajmuje dzisiaj hotel Polonia, Teatr Iluzji – Sienka wyświetlał je jako niebywałe sensacje. W 1897 r. teatrzyk ten prosperował całkiem nieźle w Galicji.

Era poprzedzająca oficjalne narodziny kina

znała więc już pokazy ruchomych obrazów. Gdy słynna projekcja braci Lumiere wprowadziła oficjalnie kino w świat rozrywki i interesu, Łódź przyjęła nowy wynalazek z zachwytem i entuzjazmem. Pierwsze projekcje miały miejsce w Helenowie, potem w powoli rodzących się kinach. Zanim jednak doszło do pokazów w iluzjonach, projekcje filmowe odbywały się w różnych przygodnych miejscach. Bazę ówczesnych wydarzeń artystycznych oprócz teatru stanowił cyrk, teatrzyki varietes i kabarety. Korzystały one również z filmów, jako łatwego sposobu rozrywki, chociaż seanse kinematograficzne nigdy nie stanowiły w tych imprezach głównego punktu.

W 1897 r. przebywający w Łodzi cyrk International pod dyktando A. L. Durowa przy Zielonym Rynku włączył „sensacyjne żywe fotografie” do swego programu. Panoptikon braci Mech pokazywał „chronofotografie” w październiku i listopadzie. Były to filmy Lumiere, wśród których obraz ukazujący parę cesarską w Paryżu był szczególnie interesujący. Na nowe odkrycie zareagował również łódzki teatr Victoria (ul. Piotrkowska 67) wystawiając

30.IV.1898 r. komedię w 3 aktach pt. „Kinematograf”. 15.IX.1898 r. zagościła tylko na 2 dni w teatrze Sellina nad którym pieczę dzierżył w tym czasie Michał Wołowski. Sztuka ta była dla obu teatrów przyszłościowym nomen omen, ponieważ w obu tych budynkach funkcjonował w latach późniejszych kinematograf.

W omawianym czasie często odbywały się w Łodzi odczyty. Od 1899 r., uatrakcyjniano je przezrociami zwanymi również „niknącymi obrazami”.

Z zupełnie przygodnymi seansami filmowymi spotykali się łodzianie na Wodnym Rynku z okazji Zielonych Świąt. Nazywano je „balaganami”. Kinematograf uczestniczył również w wielu zabawach organizowanych z inicjatywy stowarzyszeń, szkół czy towarzystw. Odbywały się one w znanych parkach lub lasach podmiejskich, najczęściej latem, zimą zaś w przestronnej sali koncertowej przy ul. Narutowicza (Filharmonia). Dochód z nich przeznaczony był na cele dobroczynne. Najwięcej zabaw z udziałem seansów filmowych odbyło się w 1907 r. w ogrodzie Mikołajewskim (dzisiejszy park Sienkiewicza) i w Helenowie, zawsze w niedzielę. Zaczynały się po południu i trwały do późnego wieczora. Cena wstępu kształtowała się wokół paru kopiejek.

Również Teatr Wielki Fryderyka Sellina często udzielał swych podwojów seansom filmowym. W 1901 r. pokazywano w nim filmy Bolesława Matuzewskiego, m.in. „Polowanie w Białowieży” i „Pobyt jego Cesarskiej Mości we Francji”. We wspomnieniach bywalców tego przybytku zachowała się nawet informacja na temat treści oglądanego utworu, który przedstawiał miało polowanie na dzika. Nastrojów widzów śledzących dramatyczne zapasy sfory psów z osaczonym odynem potęgowały reklamowe, choć podświadomie prorocze sformułowania w rodzaju: „Szalonej publiczności jest świadkiem demonstrowania jednego z najdonioślejszych wynalazków współczesnych”.

Od 1903 r. filmy coraz rzadziej wprowadzane były do miejsc przygodnych. Rodzące się kino przejęło na siebie całkowicie projekcje kinematograficzne, a jego dominująca pozycja przejawiała się na całym świecie i w Łodzi tendencją do powstawania coraz to nowych przybytków X Muzy.

dr Hanna Krajewska

Dawna Łódź

Nazwy ulic

Wiele emocji wzbudzały decyzje Rady Miejskiej dotyczące nazewnictwa łódzkich ulic. Zwykle przyjęto powrót tradycyjnych nazw, ustalonych w okresie międzywojnia, potwierdzono słuszność upamiętnienia nazwisk i wydarzeń z najnowszej historii Polski, dotychczas przemilczanych. W dyskusji o nowych nazwach ulic mówiono o wysokich kosztach tego przedsięwzięcia, z konieczności spadających na społeczeństwo, nie zawsze w pełni świadome dokonywanych zmian ustrojowych.

Zarząd Miejski już w 1936 r. uznał, że „zmiany nazw ulic w Łodzi dokonywane będą tylko w wyjątkowych okolicznościach”, uznając postulat właścicieli domów, skarżących się na „poważne koszty, związane z koniecznością dokonywania wpisów do ksiąg hipotecznych, zmian tablic domowych, latarni itp”. Warto przy okazji przypomnieć zasady przestrzegane przez działającą przy Magistracie od 1926 r. Komisję fachową do przemianowania ulic i placów m. Łodzi: „zmiany ulic już zabudowanych uskutekczane będą tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy zachodzić będzie wyraźna tego potrzeba, a to ze względu na liczne niedogodności i wydatki związane ze zmianą nazw takich ulic. Nie będą zmieniane nazwy, które mają znaczenie topograficzne, wskazujące kierunki dróg do sąsiednich osad, nazwy związane z obiektami, położonymi przy tych ulicach, wreszcie nazwy, łączące się ściśle z rozwojem miasta.”

Najstarszymi ulicami miasta – twierdzą historycy Łodzi – były ulice Stodolniana (obecnie część Zachodniej) i Drewnowska, tworzące narazie pierwotnego rynku Łodzi rolniczej, na którym stał ratusz i kościół z plebanią. Zabudowę nowej osady fabrycznej wytyczały ulice: Południowa, Północna, Wschodnia i Zachodnia, dzieliły ją zaś Piotrkowska i Średnia, przemianowana 11.02.1920 r. na Pomorską, co wzbudziło gorące protesty mieszkańców, podobnie jak w 1921 r., gdy Magistrat zdecydował o nadaniu ul. Rozwadowskiej imienia Ludwika Zamenhafa. Przez długi czas ul. Edwarda Abramowskiego nazywano Gubernatorską. Ul. Zieloną od 1873 r. zwana była Dzielną, Henryka Sienkiewicza zrazu nazywała się Dzięką, potem Mikołajewską. Ul. Czerwona przyjęła nazwę od farbarni tzw. czerwieni tureckiej, którą założył w 1828 r. J. T. Lange, ul. Ewangelicka powstała w 1873 r., gdy kładziono

kamień węgielny pod budowę kościoła ewangelickiego pod wezwaniem św. Jana Apostoła. Dopiero 11.08.1934 r. przemianowano ją na Bronisława Pierackiego, a po wojnie na Roosevelta, zaś kościół przeszedł w użytkowanie parafii rzymskokatolickiej. Ul. Zgierska pierwotnie była nazywana Cygańską, a Nowomiejska – Gościńcem Narodowym, który dopiero po pewnym czasie, poczynając od Nowego Rynku przyjął nazwę ul. Piotrkowskiej.

Już 3.04.1919 r. ul. Benedykta przyjęła miano 6 Sierpnia dla uczczenia rocznicy wstąpienia Legionów Józefa Piłsudskiego w granice Kongresówki. Ul. Długa została 11.02.1920 r. przemianowana na Gdańską dla upamiętnienia doświadczeń polskich do morza, zaś Nowy Rynek stał się od 11.11.1919 r. placem Wolności. 11.06.1919 r. Rada Miejska przemianowała ul. Jekaterynburką na św. Jerzego, zaś 20.10.1920 roku ul. Olgińską na Grzegorza Piłsudskiego. Przy obydwo stały wówczas cerkwie, jedna pod wezwaniem św. Aleksego, druga św. Olgi. 18.05.1920 r. Rada postanowiła przemianować 65 ulic o jednakowych nazwach (np. było sześć ulic Ciemnych). Zmieniono wówczas ul. Krótką na Romualda Traugutta, Polną na Ludwika Waryńskiego. 2.07.1920 r. Zarząd Miejski przemianował ul. Napiórkiowską, który zginął pod Ciechanowem 18.08.1920 r. od kul sowieckich.

13.12.1928 r. ul. Wschodniej nadano imię Józefa Piłsudskiego, choć jeden z radnych dowołał, że imieniem Marszałka należałoby nazwać jakąś inną ulicę niż Wschodnia, „która nigdy przyzwoitą ulicą nie będzie”. 10.11.1938 r. postanowiono przemianować ul. Podlesną na Marii Skłodowskiej-Curie. Podczas uroczystości 29.11.1938 r. wiceprezydent miasta Kozłowski powiedział: „Ogłaszam, że od tej chwili ulica Podlesna otrzymała nazwę ul. Marii Skłodowskiej-Curie. Niechaj ta nazwa, zdobiąca odgór ulicę w Łodzi, przypomina po wsze czasy o hojnym wkładzie, jaki do skarbnicy wiedzy ogólnoludzkiej wniósł geniusz polskiej myśli naukowej, ucieleśniony w osobie Marii Skłodowskiej-Curie”. Warto dodać, że uczona odwiedziła Łódź 3.06.1925 r. w drodze do Warszawy i była witana serdecznie przez władze miasta i licznie zgromadzoną na dworcu publiczność.

Andrzej Kempa

Lektury przodków

Czwalebny zwyczaj wypoczynku po pracy z książką lub gazetą w ręku należał w Łodzi do schyłku XIX wieku do rzadkości. Wynikało to z różnych przyczyn. Przesadzał wszakże pewien satyryk, pisząc: *Kto siadł z książką przy kominku, Łódź mu wrzeszczy: wąż do szynku, Karczmarzowi rzucić w kaletę, Nie na książkę lub gazetę!*

Powodem słabego rozwoju czytelnictwa wśród ówczesnych łódzian był powszechny brak oświaty. Dwie trzecie mieszkańców stanowiły analfabeci, z tych zaś, którzy posiadali umiejętność czytania, tylko nieliczni interesowali się książką.

Inną przyczyną niskiego poziomu czytelnictwa w Łodzi była cena książki. Nieznaczne nakłady powodowały, że koszt wydania książki kształtował się bardzo wysoko. Egzemplarz starannie wydanego dzieła kosztował przeciętnie około jednego rubla. Za tę sumę można było wtedy nabyć 4 kg mięsa lub 2 kg masła. Przy ówczesnych niskich zarobkach na kupno książki pozwolić sobie mogły tylko osoby dobrze sytuowane materialnie.

Wprawdzie istniało w mieście kilka wypożyczalni książek, ale wysoki abonament miesięczny (50 kopiejek) powodował, iż korzystali z nich wyłącznie ludzie zamożni. Działająca zaś przy klubie fabrycznym na Księżym Młynie bezpłatna czytelnia zaspokajała wyłącznie potrzeby czytelników pracowników zakładów scheiblerowskich.

Niekorzystnie przedstawiało się czytelnictwo gazet i czasopism. Świadczy o tym niskie nakłady ówczesnej prasy łódzkiej. „Dziennik Łódzki” posiadał zaledwie 800 prenumeratorów. „Rozwój” początkowo odbijał tylko 1200 egzemplarzy. Tygodnikowe czasopismo „Ognisko Rodzinne” tłoczono w około 400 egzemplarzach. Nieco korzystniej przedstawiało się położenie miejscowych gazet niemieckich.

Uboższe warstwy ludności stykały się z wartościową książką czy czasopiśmem w stopniu minimalnym. Jeżeli już coś czytano – to kalendarze książkowe o treści religijnej wydawane w Częstochowie, senniki egipskie, zbiorki piosenek, samouczki chiromancji i wreszcie żywoty świętych. Publikacje tego rodzaju wydawane w masowych nakładach, lecz tandetnie, były dostępne dla kieszonki robotniczej.

Ulubioną lekturą łódzkiego proletariatu stanowiły tasemcowe powieści zesytnowe. Cena zeszytu nie przekraczała 10 kopiejek. Ukazywały się one przeważnie w odstępach tygodniowych, przy

czym każda powieść składała się z kilkudziesięciu odcinków. Z uwagi na frapujące tytuły, sensacyjną i niewybredną treść literatura brukowa znalazła licznych odbiorców wśród najmniej wyrobionych czytelników. „Barbara Ubryk czyli tajemnice klasztoru”, „Przez miłość do nędzy”, „Wygnała w dzień ślubu” – to tylko niektóre tytuły wydawnictw zesytnowych, stanowiących pasjonującą lekturę robotniczą fabrycznych, służby domowej itp. Przez pewien czas utwory tego rodzaju panowały na łódzkim rynku wydawniczym niepodzielnie.

Na początku XX wieku pojawiły się w księgarniach serie zesytnowe opatrzone napisem: każdy zeszyt stanowi całość. Były to opowieści przygodowe i kryminalne. Czytawła je głównie młodzież męska. Każdą serię zesytnową łączyła postać wspólnego bohatera. Najpopularniejsi z nich byli: Jack Teksas – pogromca czerwonoskórych wojowników, Sitting Bull – nieustraszonego wódz Indian, Sherlock Holmes – sławny detektyw angielski, Arsen Lupin – dżentelmen-włamywacz. Nabywca pojedynczego zeszytu po przeczytaniu mógł go wymienić w księgarni na inny za groszową opłatą.

W wydawnictwach zesytnowych specjalizowały się w Łodzi firmy księgarskie Leopolda Zonera, Adolfa Słomnickiego, Karoliny Kolińskiej i kilku innych. Literaturę zesytnową, zalewającą łódzki rynek czytelniczy, ostro zwalczała prasa, nawołując księgarzy-wydawców, ażeby podjęli się wydawania tanich, wartościowych i przystępnych książek dla robotników. Apele te przechodziły bez odzewu. Wydawcy nadal obdarzali proletariata „klasycznymi” utworami zesytnowymi w rodzaju: „Kapitan Dreyfuss czyli pokutnik z wyspy diabelskiej” lub „Królowa wyspy czyli walka o Kubę”.

Cena zeszytu wynosiła tylko 7 kopiejek. Pisma codzienne zamieszczały na swych łamach powieści w odcinkach pisarzy polskich i obcych. Dzięki temu wielu łódzian zapoznało się z najcenniejszymi utworami H. Sienkiewicza, B. Prusa, Wł. S. Reymonta. Interesującą inicjatywę w tym względzie wykonało wydawnictwo „Dziennik Łódzki”, które własnym nakładem wydało pięć wartościowych powieści obcych autorów, uprzednio zamieszczonych w tym piśmie w odcinkach.

Niektórzy czytelnicy wycinali z gazet poszczególnie odcinki powieściowe, zbierając je w całość. W ten sposób w niejednej rodzinie robotniczej powstawał zaległy własnego księgozbioru.

Wacław Pawlak

13 czerwca 1944 roku w Warszawie nieznani sprawcy zamordowali Ludwika Wiedersza i wprowadzili Zofię z domu Neuman i Jerzego Makowieckich. Poszukiwanie ciała wprowadzonych nie dało rezultatu. Byli to pracownicy Biura Informacji i Propagandy KG AK, członkowie Stronnictwa Demokratycznego „Prostokąt”. Śledztwo rozpoczął pracownik BIP KG AK – Kazimierz Moczański. Przypadkowo udało mu się trafić na ślad morderców. Dokonała tego grupa terrorystyczna Andrzej Sudecki (Andrzej Popławski). Powstał nawet plan porwania szefa tej grupy i zdobycia jego archiwum, ale szef BIP KG AK „Prezes” – płk Jan Rzepecki nie wyraził na to zgody. Prasa konspiracyjna potępiła mordy polityczne.

Byli wojewoda wołyński i łódzki Henryk Józewski zapisał w swoich pamiętnikach, które drukowały „Zeszyty Historyczne” (nr 59, Paryż 1982):

„...najbardziej odrażającym zjawiskiem budzącym spontaniczny odruch sprzeciwu i nie znośnym kompromisu osądu były wypadki zabójstwa Polaków walczących z niemiecką przemocą. Zabójstwa dokonywane rękami polskimi. Mówiąc o tym nie mam na myśli agentów narodowości polskiej na służbie Gestapo albo NKWD. Takie wypadki się zdarzały. Nie chodzi mi w danym razie o agentów – mam na myśli wyczyny ONR, bo tak o tym mówiono i takie było przeświadczenie ogółu.

Właśnie ludzie ONR zabili naczelnika wydziału w BIP inż. Makowieckiego, jego współpracownika Wiedersza, a uprzednio prof. Handelsmana. Były to mordy polityczne w całym tego słowa znaczeniu.

Pamiętam, jak dnia jednego zawiadomiła mnie Komenda Główna AK, że został wydany na mnie wyrok śmierci i muszę się pilnować. Na pytanie, kto wydał taki wyrok, zmieszany kapitan powiedział: Polacy”.

Henryk Józewski w Kijowie w latach 1918-1920 związany był z wywiadem wojskowym, później swoją polityką zjednywania Ukraińców na Wołyniu mocno naraził się tak endecji, jak i Ukraińcom zza Horynia, czyli dawnej granicy II RP. Zwalczał też na Wołyniu i Polesiu grupy dywersyjne, które tam przybywały zza wschodniej granicy. Wiele było różnych grup, którym był niewygodny.

Najlepiej zlikwidować przeciwnika

W marcu 1944 roku KG AK i Tymczasowa Rada Polityczna Narodowych Sił Zbrojnych podpisały umowę scaleniową. Grupy NSZ, wywodzące się z Obozu Narodowo-Radykalnego, nie podporządkowały się AK i powołały własne kierownictwo. Zaczęły też zwalczać tych, którzy odważyli się przejść do AK. Wydano wyrok na podpułkownika Albina Raka „Lesińskiego”, który stanął na czele tych, którzy przeszli do AK. Ujęto go i pod groźbą użycia broni zmuszono do uznania za swego zwierzchnika p.o. dowódcę NSZ – podpułkownika Stanisława Nakoniecznikoffa-Klukowskiego „Kmicica”. Stało się to 15 czerwca 1944 roku.

Leszek Gondek napisał w książce „Polska karząca 1939-1945”: „Ze sprawą ppłk. „Lesińskiego” wiąże się tragiczny i do chwili obecnej do końca nie wyjaśniony skrytobójczy mord polityczny na eksponowanych pracownikach Biura Informacji i Propagandy KG AK, a jednocześnie działaczach konspiracyjnego SD, Jerzym Makowieckim i Ludwiku Wiederszu...”

Podobny pogląd wyraził w książce „Armia podziemna” gen. Tadeusz Bór-Komorowski. „Przywódcy niepodporządkowanej części NSZ stali na stanowisku, że skoro klasa Niemców jest nieunikniona, należy zaprzestać z nimi

walki, a zwrócić się przeciw tym, którzy stanowią groźniejsze niebezpieczeństwo dla Polski, tj. przeciw komunistom i Rosji sowieckiej. W konsekwencji tego stanowiska, całą swą aktywność skierowali przeciw komunistom i partyzantom sowieckim, wykonując w swym zacieźczeniu między innymi wyroki na ludziach zapatrywanych lewicowych, którzy z komunizmem nie tylko nie mieli nic wspólnego, ale usilnie go zwalczyli. Tak zginął z ich ręki inż. Makowiecki – „Malicki”, szef Wydziału Informacji BIP-u Komendy Głównej, jego podwładny, docent Wiedersza i inni”.

Rozłamowców z NSZ obwiniano o wydanie Gestapo z Radomia profesora Marceliego Handelsmana i pisarki Haliny Krahelskiej. Marceli Handelsman ukrywał się od 1940 roku w Milanówku. Współpracował z Jerzym Makowieckim w BIP KG AK i w SD. Aresztowano oboje w nocy 14 lipca 1944 roku. Zginęli w obozach: Marceli Handelsman 20 marca 1945 roku, Halina Krahelska 19 kwietnia 1945 roku.

Obwinia się NSZ o zastrzelenie 6 czerwca 1944 roku w mieszkaniu własnym w Warszawie przy ul. Okólnik 11 A Jana Korwin-Czarnomskiego. Aleksander Geysztor uważa, że zabito go przez pomyłkę. Planowano zabójstwo Eugeniusza Czarnomskiego. Zdecydowała zbieżność nazwisk. Eugeniusz Czarnomski był dyrektorem Spółdzielni Pracy „Grupa Techniczna”, od lipca 1944 roku prezesem Zjednoczenia Demokratycznego, bliskim współpracownikiem Jerzego Makowieckiego w BIP KG AK. Po wojnie znalazł się w grupie 16 Polaków sądzonych w Moskwie. Otrzymał wyrok pozbawiający go wolności na 6 miesięcy. Powrócił do Polski. Nadal kierował SP „Grupa Techniczna”. Zmarł w 1947 roku.

Ryszard Nazarewicz w artykule „Z ponurych kart historii. Kto zamordował? Kto zlecił?” („Polityka” nr 4 z 1986 r.) kategorycznie stwierdza, że „zamordowanie Makowieckiego i Wiedersza nie było dziełem NSZ. No, to czym?”

Leszek Gondek wyraźnie wskazuje na NSZ. Pisze: „...NSZ miały za złe kierownictwu BIP-u KG AK (i personalnie Makowieckiemu) zainspirowanie głośnego rozkazu nr 173 Dowódcy AK, „wzywającego oddziały NSZ do karnego podporządkowania się wyznaczonemu przeze mnie komendantowi (czyli „Lesińskiemu”)”. Rozkaz ten został opublikowany w „Biuletynie Informacyjnym” (nr 22 – 23) 8 czerwca 1944 roku, a zatem 6 dni po wydaniu wyroku na „Lesińskiego”, a 5 dni przed zamordowaniem Makowieckiego i Wiedersza”.

Jeżeli więc wiemy już, kto wykonał „wyrok”, to nadal nie wiemy, kto go wydał. Jedno jest tylko interesujące: wszyscy zamordowani byli bliskimi współpracownikami Jerzego Makowieckiego.

Poszukiwanie motywu: płaszczyzna polityczna

Płk Jan Rzepecki w 1971 roku napisał o Jerzym Makowieckim („Wojskowy Przegląd Historyczny” nr 2): „Obdarzony dużym zmysłem politycznym i świetnie zorientowany w środowisku warszawskich czynnych polityków Makowiecki był jednym z czołowych członków Stronnictwa Demokratycznego (...). Nieprzebieżnie zapamiętały w pracy i rzetelny, zgromadził w swej komórkę (niewątpliwie korzystając z porad i innych poważnych polityków) zespół znakomitych fachowców, znawców i badaczy zagadnień, ze świata politycznego i z warszawskich wyższych zakładów naukowych. Byli to przeważnie ludzie bezpartyjni, zbliżeni do centrowych lub postępowych grup politycznych: od chrześcijańskiej demokracji do socjalistów, syndykalistów”.

Jechaliśmy drogą, którą 45 lat wcześniej przemierzały samochody z polskimi oficerami

Zagłuszający wszelkie rozmowy warkot śmigieł „Antka” był wyrazem sukcesu w negocjacjach z Rosjanami. Wzięty premiera Tadeusza Mazowieckiego w Katyniu zaprogramowali oni tak, aby delegacja rządowej towarzyszyło w najlepszym przypadku sześciu dziennikarzy. Trudno było przekonywać, że dziennikarzy jest dwudziestu siedmiu i każdy w Katyniu powinien się znaleźć.

W Smoleńsku jest małe lotnisko. Nie możemy wystąpić dużego samolotu, a lądowanie kilku mniejszych to technicznie zbyt trudny problem – argumentował szef radzieckiego protokołu.

Ugiął się dopiero wtedy, gdy płk Goliszewski, wicedyrektor BOR-u, zauważył z odrobiną ironii w głosie, że podczas wizyty kanclerza Kohla w Polsce, na równie małym lotnisku w Częstochowie, w odstępach dwuminutowych, lądowało siedem „Jaków” i nie stanowiło to dla Polaków jakiegokolwiek problemu. Ironia pułkownika była uzasadniona. Wszyscy wszak rozumieliśmy „w ciom dielo”. Nie o kłopoty techniczne szło, a o propagandę. W okresie wizyty premiera w ZSRR nikt jeszcze w tym kraju, oficjalnie, nie mówił o Katyniu inaczej niż przez wszystkie powojenne lata. A tu nagle na polowej drodze pod katyńskim krzyżem mają znaleźć się wysłannicy AP, NBC, DPA, Le Monde, Financial Time, nie licząc polskich „niepewnych” żurnalistów.

Tak więc ów „Antek”, zamiast sześciu

miejsc w „Jaku”, to był sukces. Jedynym wspomnieniem sporów o lot do Smoleńska było kilka śmiertelnie poważnych drabów o zabójczych spojrzeń, zajmujących fotele w tyle samolotu. Przedstawiono ich jako moskiewskich dziennikarzy. Niech i tak będzie.

Na lotnisku w Smoleńsku czekały trzy autokary.

Do jednego z nich zasiadła grupa dziennikarska. Inne zajęte zostały przez oficjalne osoby. Jechaliśmy drogą, którą 49 lat wcześniej przemierzały samochody z polskimi oficerami. Dla nich była to droga ostatnia. Dla nas gospodarze starali się uczynić z niej trasę krajoznawczo-historycznej ekskursji. Przewodnicząca „Inturistu” serdecznie przywitała grupę na gościnnej, jak powiedziała, ziemi smoleńskiej i rozpoczęła opowieść o... wyprawie Napoleona na Moskwę. Z prawej strony, z lewej, to znów na wprost, wskazywała miejsca pamiętające, jak Wielka Armia obrywała po tylu odrosłych wojów z I wojny ojczyźnianej. Ośnięte podsmoleńskie pola w wyobraźni zapalały się ufanami księcia Józefa i przeszły mi nie spełnionymi nadziejami. Niby słowa o historii. Ale nawet po tylu latach, nie do strawienia przez polskie uwielbienie dla narodowych mitów. Opowieść przewodniczki nijak miała się do okoliczności. Nieistotne jest to, czy mówiła tak specjalnie, czy był to sztampowy kome-

Byli to wszakże ludzie w większości skupieni wokół SD lub z tego kręgu wywodzili się. Fakt ten dostrzegł Jan Nowak-Jeziorański, który w swojej książce „Kurier z Warszawy” napisał: „... pewna przewaga jednego ugrupowania sprawiła, że BIP stał się przedmiotem nagonki i oczerniających ataków ze strony prawicy, a zwłaszcza jej najbardziej skrajnych elementów spod znaku NSZ”.

Inny kurier – Jerzy Lerski dostrzegł coś odmiennego, czemu dał wyraz w książce „Emisariusz Jur”. „Niektórzy ludzie wręcz drażnili mnie swymi mafijnymi animozjami. Należeli do nich np. dzielni skądinąd: przywódca SD pracujący jako szef informacji BIP-u inż. Jerzy Makowiecki „Małicki”, były sanacyjny naprawiacz przedzierzgnięty w arcyradikalnego lidera Związku Syndykalistów Polskich, Stefan Szewowski, szara eminencja różnych masonskich konwentykli...”.

Pracowników BIP KG AK i działaczy SD łączyła również przynależność do loży masonskiej. Masonami między innymi byli: Marcei Handelsman, prof. Mieczysław Michałowicz – pediatra i pierwszy prezes SD, nosił on imię zakonne „Albert Ławicz”, inż. Romuald Miller – „Jakub Jasiński”, działacz SD, przedstawiciel Klubu Demokratycznego w Łodzi, podczas okupacji kierujący pracami

Poszukiwanie motywu: płaszczyzna narodowościowa

Stefan Korboński w książce „Polskie państwo podziemne” napisał: „Oddziały NSZ mordowały również Żydów ukrywających się po lasach, a 13 czerwca 1944 roku, w ramach akcji „oczyszczania z Żydów” BIP-u Komendy Głównej, bojówka NSZ zamordowała dwóch oficerów Komendy Głównej – inżyniera Jerzego Makowieckiego z żoną i docenta Ludwika Widerszala. Ponadto został zamordowany przez NSZ pracownik BIP-u inżynier Czarnomski. Wreszcie 14 lipca 1944 roku zostali uprowadzeni przez NSZ dalsi pracownicy BIP-u – profesor Marcei Handelsman i Halina Krahelska, którzy zostali wydani Niemcom i znaleźli się w więzieniach niemieckich”.

Stefan Korboński wspomina o tym, że przygotowanie listy osób przeznaczonych do zgładzenia, gdyby w sprzyjających okolicznościach NSZ udało się dokonać zamachu stanu. Jerzy Janusz Terej w książce „Na rozstajach dróg” cytując fragmenty takiej listy: „Widerszał Ludwik, żyd, uczeń Handelsmana, historyk, komunisty, zamieszkały ul. Asfaltowa w W-wie – rozprawienie na ukończeniu”.

Poszczególne ugrupowania polityczne, oddziały bojowe, różne grupy były wzajemnie penetrowane. Na przykład Włodzimierz Lechowicz pracował jednocześnie w Wydziale Informacji Sztabu Głównego GL (od 1942), Wydziale Ochrony Oddziału II Sztabu Głównego AL (od 1944), był kapitanem GL i używał pseudonimu „Zych” oraz w Urzędzie Śledczym Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa jako „Tomaszewski”, dywersji osobowej Kierownictwa Walki Podziemnej jako „Morski”, podlegających Delegaturze Rządu na Kraj.

Włodzimierz Lechowicz urodził się w 1911 roku w Szczecinie (powiat Dąbrowa Tarnowska) w rodzinie nauczyciela. Ukończył gimnazjum w Tarnowie i polonistykę na UW. Pracował jako kancelista w Korpusie Ochrony Pogranicza, a następnie – za zgodą Leona Ferszt z KPP – w Dowództwie Okręgu Korpusu I na stanowisku referenta do spraw narodowościowych i prasowych. Później był sekretarzem generalnym Stowarzyszenia Urzędników Państwowych, członkiem prezydium Centralnej Komisji Porozumiewawczej Związków Pracowników, redaktorem naczelnym „Życia Urzędniczego”.

Po wrześniu 1939 roku przebywał na Wi-

tych Żydów. Oba wyroki śmierci nie zostały wykonane.

Inny przykład – to grupa terrorystyczna Andrzeja Sudeckiego. Maria Turlejska w książce „Te pokolenia żałobami czarne...” pisze: „Grupa Andrzeja Sudeckiego – pod tym kryptonimem działała grupa likwidacyjna – związana z kontrwywiadem Delegatury i zarazem z NSZ. Jej to przypisuje się zamordowanie wiosną 1944 roku w Warszawie działaczy Biura Informacyjnego i Propagandy Armii Krajowej – inż. Jerzego Makowieckiego wraz z żoną i dr. Ludwika Widerszala oraz wydanie gestapo prof. Marcego Handelsmana i Haliny Krahelskiej. (...) Z naszego dokumentu zdaje się wynikać, że kontakty z tą grupą utrzymywał też wywiad GL (AL)”. „Nasz dokument” – to „Protokół otwarcia kas zawierających dokumenty pozostałe po Bolesławie Bie-rucie i dokumenty przekazane przez Jakuba Bermana”. Z tego dokumentu również wynika, że UB interesowało się szczególnie działalnością „komórki likwidacyjnej KWC i kontaktami z Sudecką” oraz „grupami dywersyjnymi i kontaktami z Sudecką”.

Zdaniem Ryszarda Nazarewicz „wyrok” na Jerzego Makowieckiego i Ludwika Widerszala oficerowi kontrwywiadu AK Władysławowi Jamonttowi przekazali: kierownik podreferatu dywersji w referacie „999” kontrwywiadu AK Władysław Niedenthal i kierownik referatu więziennego i referatu żydowskiego w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu – Witold Bieńkowski. Budzi to jednak poważne wątpliwości. Po pierwsze – miał to być wyrok sądu. Ale jakiego? Po drugie – oficer AK nie mógł otrzymać polecenia od osoby cywilnej – Witolda Bieńkowskiego. Po trzecie – Władysław Niedenthal był równorzędnym stopniem oficerem AK w stosunku do Władysława Jamontta. Nie mógł zatem wydawać mu poleceń.

Kto wobec tego przekazał Andrzejowi Sudeckiemu „wyrok” do wykonania?

Kazimierz Moczarski, gdy zaczął prowadzić śledztwo – po trosze na własną rękę – natknął się na Andrzeja Sudeckę. A ten przygotował nawet na niego zamach. Na szczęście był to zamach nieudany. Natomiast Andrzej Sudeczko – gdy został wezwany na spotkanie, na którym miał odpowiedzieć na pytanie, kto rozkazał? – został zastrzelony. Było to 5 lipca 1944 roku.

Po wojnie znaleziono ciała pomordowanych

W czasie Powstania Warszawskiego Kazimierz Moczarski dowiedział się, że „... grupa Sudeckiego zastrzeliła małżonków Makowieckich poza granicami ówczesnego terytorium m. Warszawy – na polach w pobliżu Boernerowa, już na terenie powiatu warszawskiego, ale blisko linii dzielącej obszar Warszawy i województwa warszawskiego”. Dlatego Polacy pracujący w Kripo, którzy szukali zwłok małżonków Makowieckich, nie mogli ich odnaleźć, gdyż szukali w obrębie ówczesnej Warszawy. Podczas Powstania Warszawskiego Kazimierz Moczarski dowiedział się, że „ludzie Sudeckiego wywieźli Makowieckich tymże szarym samochodem na pola pod Boernerowem, tam przeczytali im jakieś pismo (może „wyrok”?) i zamordowali pociskami ze Schmeisera. Strzałów było kilkanaście (około 17-tu). Makowiecka miała w czasie mordu na każdej nodze inny, choć podobny, pantofel”.

Po wojnie małżonkowie Makowieccy zostali odnależeni na polach koło wsi Górka, ekshumowani i pochowani na Powązkach.

Pytanie: kto wydał rozkaz? – pozostaje nadal bez odpowiedzi.

Benedykt Pazik

Hipotezy, przypuszczenia, domysły: „Zdarzyło się 13 czerwca 1944 roku” część 2

Pytanie, które pozostaje bez odpowiedzi

SD – dr Antoni Stanisław Więckowski, prof. Wincenty Tomaszewicz też z Łodzi oraz Jerzy Makowiecki. Te związki Klubu Demokratycznego a później SD z masonerią dostrzegła prasa narodowa. W 1937 roku „Warszawski Dziennik Narodowy” pisał:

„Nowa ta organizacja składa się z działaczy do niedawna sanacyjnych, przeważnie z przeszłością legionową. Obok nich na liście członków władz klubowych figurują nazwiska związane z kołami socjalistycznymi oraz ze środowiskiem wolnomularskim, popierającym niemal do ostatniej chwili sanację i jej polityczno-ustrojowe zamierzenia nie wyłączając Brześcia i Berezy”.

Jerzy Makowiecki montując zespół w BIP KG AK, czy odbudowując SD nawiązał do przedwojennych znajomości i działalności. W BIP KG AK i w SD współpracowali z nim: historycy Tadeusz Manteuffel, Aleksander Geysttor, Ludwik Widerszał, Stefan Kiniewicz, Antoni Szymanowski, historycy sztuki Antoni Wiczorekiewicz i Stanisław Lorentz, dziennikarze Halina Nieniewska, Jerzy Szurig, Andrzej Kobyłecki, Krystyna Wigura-Kobyłecka, Stefan Krukowski (brat Kazimierza Krukowskiego – „Lopka”), prawnik Józef Stawiński, działacz młodzieżowy SD Andrzej Kłono-wicz, prof. Romuald Gutt i wielu innych.

Jerzy Makowiecki z racji swojej pracy zarówno w BIP KG AK, jak i w innych organizacjach, a w tym w SD musiał sam lub przez swoich współpracowników utrzymywać kontakty z różnymi politycznymi ugrupowaniami i z różnymi środowiskami. Kazimierz Moczarski wspomina, że kilkakrotnie odbywał, na polecenie Jerzego Makowieckiego, rozmowy z działaczami PPS Zygmuntem Zarembą i dr Adamem Próchnikiem. Pułkownik Antoni Stanisław Więckowski reprezentował SD wobec innych partii i ugrupowań, a Jerzy Makowiecki działał w sferach wojskowych.

Trudno, aby tak żywo i wszechstronnie działający człowiek nie został dostrzeżony przez inne podziemne organizacje.

Na takiej liście znaleźli się nie tylko ludzie żydowskiego pochodzenia, ale w ogóle ludzie nauki, kultury, sztuki. Było tam nazwisko Tadeusza Kotarbińskiego, Haliny Krahelskiej, Marii i Stanisława Ossowskich, Ludwika Widerszala, Jerzego Makowieckiego i Aleksandra Kamińskiego. O tym ostatnim pisało: „Kamiński Aleksander, harcmistrz, przed wojną kierownik szkoły Żuchów na Śląsku w Górach Wielkich. Żydofil, zawsze skłaniał się ku skrajnej lewicy – komuny. Niepewne pochodzenie matki (żydówka lub Francuzka, popłędnie) żydówka francuska). Kamiński jest niewysokim brunetem, o ciemnych oczach, bardzo ruchliwy i nerwowy, bystra inteligencja(...)”. Aleksander Kamiński podczas okupacji pracował w BIP KG AK. Redagował „Biuletyn Informacyjny”.

Zastosowaną tu metodą można z każdego człowieka zrobić osobę podejrzaną. Aleksandrowi Kamińskiemu zarzucano (tajnie zresztą), że jest na tyle przebiegły, iż do wprowadzenia w Polskę komunizmu nie dąży jawnie, ale działa poprzez inne organizacje i ludzi. Poza tym tak się złożyło, że zamordowani ludzie byli albo żydowskiego pochodzenia, albo mieli jakieś związki z Żydami. Dlatego motywu narodowościowego nie należy całkowicie wykluczyć.

Poszukiwanie motywu: przenikanie wywiadów

Henryk Józewski wspominał w swoim pamiętniku, że wydano na niego wyrok. I stało się. Latem 1943 roku przebywał w leśniczówce Jasieniec i właśnie wtedy dokonano zamachu. Nocą, przez otwarte okno, ktoś oddał kilka strzałów w rewolweru do siedzących przy stole, a następnie rzucił granat. W 10 lat później, w więzieniu mokrskim prowadząc śledztwo zapytał: – co miało miejsce w gajówce? Henryk Józewski odpowiedział: – napadli jacyś bandyci. – Wtedy usłyszał, że to byli „komuniści – żołnierze”, a jeden z nich w 1953 roku zajmował wysokie stanowisko.

leńszczyźnie i Kowieńszczyźnie, gdzie pracował jako spawacz i robotnik rolny. Jesienią 1941 roku – mając dobre, ale fałszywe papiery na nazwisko Stanisława Patryka – powrócił do Generalnej Guberni, a następnie do Warszawy. Działal – jak już wspominałem – w organizacjach podległych Delegaturze Rządu i w Armii Ludowej.

Po wojnie był w Ministerstwie Ziemi Odzyskanych oraz w SD. W 1948 roku aresztowany, przesiedział w areszcie śledczym do 1955 roku, kiedy został skazany na 15 lat więzienia. Stało się to już w okresie „odwilży”. Wyszedł na wolność w 1956 roku. W trakcie śledztwa okazało się, że już przed wojną współpracował z wywiadem radzieckim. Wspomniany Leon Ferszt z KPP – zresztą później też aresztowany – ujął w trakcie śledztwa, że Włodzimierz Lechowicz utrzymywał kontakty z Ludwikiem Fersztem – bratem Leona – który rezydował w Berlinie i był pracownikiem NKGB. Podczas otwarcia kas pancernych Bolesława Bieruta odnaleziono dokument, z którego wynika, że Marian Spychalski informował Władysława Gomułkę o tym, że Włodzimierz Lechowicz przed wojną współpracował z Oddziałem II Sztabu Generalnego WP na polecenie wywiadu radzieckiego.

Jak to się wiąże ze sprawą Jerzego Makowieckiego? Bardzo prosto. Włodzimierz Lechowicz był członkiem Klubu Demokratycznego, a później działał w SD.

W podziemiu działały różne grupy, których rodowod i działalność czasami bardzo mało miały wspólnego z patriotyczną walką narodu polskiego. Jednym z przykładów na to był przywódca Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej II – Cezary Ketling-Szemley, który przez pewien czas współpracował z BIP KG AK i Jerzym Makowieckim. Był on dwukrotnie skazany na karę śmierci za napady rabunkowe na folksdeutsche, których likwidowano. Krystyna Wigura-Kobyłecka wspomina, że Cezary Ketling-Szemley robił wypadki do getta, gdzie rabował boga-

Dzień Katyński

tarz przeznaczony dla każdej wycieczki odwiedzającej te okolice. Ważne jest, że wywołał typową dla Polaków reakcję. Nie lubimy słuchać o naszych przegranych. A jeśli już, to nie w tonie rosyjskiej victorii i przy zapomnieniu o polskim bohaterstwie.

Jarek Szczepański – wicedyrektor Biura Prasowego Rządu – nie zdziwił. Podniósł się z fotela, zbliżył do przewodniczki i tonem łagodnym, jak to miał w zwyczaju, lecz pełnym perswazji, nakazał jej milczenie. W autobusowych głośnikach zapanowała cisza. Umilkli nawet „moskiewscy dziennikarze”. Ulotnił się dotychczasowy pozorny wycieczkowy nastrój. Coraz bardziej wyrazistą ciemnią przybliżał się od naszej lewej strony las katyński.

Słowa kapelana celebrującego mszę, któremu usługiwał Adam Mazowiecki – syn premiera – przenosiły zbranych z „ziemi królestwa zła” w obszary prawdy i sprawiedliwości. Ogniki świec powbijanych w śnieg wokół krzyża, ogrzewając nieco stłoczonych uczestników nabożeństwa odsłaniały w oczach wielu łzy wspomnień, żalu i cierpienia. Myślę, że były to też łzy nadziei. Oto bowiem premier rządu polskiego, po raz pierwszy w historii, kładący na zmrożonym śniegu u stóp katyńskiego krzyża i modlitwą przywołuje pamięć tu pomordowanych. Kładąc tak długą chwilę. W kożusku z podniesionym niedbale kołnierzem. Z odkrytą

głową, na której zmierzwiły się silnie szpakowate włosy.

Oczy wielu wpatrywały się w tę osobę, jakże odmienną od znanych z przeszłości postaci państwowych dygnitarzy. Kładąc poprawił upadłą w śnieg, ale tłącą się jeszcze świecę. Płomyk rozbił się ponownie, jasno i jakby wesoło, choć był przecięt ognikiem ofiarnym. Człowiek, który go uratował, schyłony przed nami, premier Polski, myślał o poległych, ale też o żyjących, których los, ich przyszłość w znacznej mierze zależały od tego, co będzie czynił.

– Nie możesz zawieść! Nie możesz. I umarłych i żywych. Nie możesz zawieść. Głośno powiedział to premier dopiero 1 maja 1990 roku na mszy w Stalowej Woli. Ale z żarliwością, z jaką modlił się w Katyniu musiało wpływać to samo postanowienie. Musisz mieć siłę, aby sprostać wyzwaniom historii i teraźniejszości, oczekiwaniom, z którymi patrz na ciebie duchy zapomnianych bohaterów i oczy współczesnych śmiertelników.

Do Smoleńska wróciliśmy wieczorem

Program przewidywał złożenie przez premiera wiązanek kwiatów pod pomnikiem ofiarom miasta. Autokary zajęły na plac przed monumentem. Nasz – dziennikarski –

zatrzymał się tak, że wysiadając wchodziło się wprost na stojące osoby z transparentami. Była to demonstracja Wolnego Społeczeństwa Smoleńska, jak głosiły hasła na transparentach, wypisane tak, jakby wyszły spod matrycy urzędowej drukarni. Manifestantów było czterech. Otoczeni byli grupką gapiów, a w oddali stało dwóch milicjantów. Żjawisko było tak niezwykle i niecodzienne, że wszyscy dziennikarze, miast upamiętniać składanie kwiatów, wzięli w obroty Wolne Społeczeństwo. W ruch poszły kamery, flesze, mikrofony. Pytano o rozmiary i cele ruchu, o przeszłość, teraźniejszość i przyszłość „Swobodooobszczestwa”. Rychno okazało się, że obywatelska wolność ogranicza się jedynie do tych czterech śmiółków, ale liczą oni, że niedługo będzie ich więcej.

Nie tylko dziennikarze zauroczeni zostali spektaklem. O oficjalnym programie zapomniał także prezes Andrzej Drajewicz, który jak przystało na superszefa żurnalistyki krajowej, włączył się w dziennikarskie indagowanie demonstrantów i już mało obiektywne schlebienie im.

– Dobrze robicie – z fascynacją i serdecznością mówił prezes – ja też tak kiedyś demonstrowałem, a teraz jestem ministrem.

– Eto przedsiadatel naszego radiokomitea – starałem się przedstawić Wolnym Obywatelom Smoleńska prezesa Drajewicza, gdy zauważyłem, że pozostałe autokary, wiozące oficjalną delegację, ruszają z miejsc. – Panie preześle, prosimy do autokaru dziennikarskiego – przerwałem dość natarczywie rozmowę z manifestantami.

Drzwi się zamknęły i ruszyliśmy. Z placu wtoczyliśmy się w słabo oświetloną, wąską uliczkę, na której ku memu zdziwieniu dostrzegłem

szefa URM, ministra Jacka Ambroziaka w towarzyszącym słusznej postaci ambasadora Stanisława Cioska i kilku jeszcze osób.

– Zatrzymaj autobus i otwórz drzwi – rzuciłem w kierunku kierowcy. Przed maską Ikarusa, zbliżając się do grzących z zimna oficjeli, zaprosiłem do skorzystania z dziennikarskiego autobusu.

– Do cholery! Jak nas zgubili, to niech szukają – niekonwencjonalnie w takiej sytuacji aczkolwiek niezwykle ambitnie, krzyknął minister Ambroziak i pozostał wraz z towarzysztwem na zimnym smoleńskim trotuarze.

Wśród dziennikarzy natomiast rozpoczęła się dyskusja.

– Czy to aby nie celowo tak ustawiono autobus, abyśmy wyszli na tych demonstrantów? – wyraził obawę Damazy Kwiatkowski z CAF. Miał wprawdzie na filmie pierwsze jaskółki wolności radzieckiego społeczeństwa, ale nie mógł nikomu zaoferować fotografii premiera oddającego hołd poległym obrońcom Smoleńska.

– Może ma pan rację – poparł go Krzysztof Bobiński – Rosjanie złożą potem protest, że prasa nieobiektywnie relacjonuje przebieg wizyty, zajmując się jej pobocznymi, a nie oficjalną treścią.

– Nie przesadzajcie panowie – zaśmiał się Wojtek Mrozek z NBC. Jednakże mina Jacka Snopkiewicza, szefa Wiadomości TV, nie świadczyła, że mogłaby to być przesada. Równie dobrze można to było nazwać mistyfikacją i prowokacją. U Rosjan wszystko jest możliwe.

Wprawdzie nie było żadnych negatywnych następstw opisanego incydentu, jednak do dziś zastanawiam się, czy ową demonstracją wolności i demokracji była autentyczna.

Cdn.

Krzysztof Bakalarski

**GABINET
ODNOWY
BIOLOGICZNEJ**

95-100 ZGIERZ (NOWA
GDYNIA) ul. Chopina 23
tel. 16 36 28

rewelacyjna
metoda odchudzania

KOMPUTEROWY MASAŻ LIMFATYCZNY
DA CI SZCZUPŁĄ SYLWETKĘ!
- ODCHUDZAMY CAŁE CIAŁO, TALIE,
BIODRA, UDA, PLECY, RAMIONA

Krem odchudzający jest wcierany metodą masażu
klasycznego

- Prowadzimy dokładne pomiary miejsc odchudzanych
- Gwarantujemy wyszczuplenie sylwetki od 1 do 3 cm po jednym zabiegu i znakomity relaks.
- Zapraszamy na elektrostymulację (ujędrnianie piersi, mięśni)
- Sauna
- Masaż klasyczny
- Solarium - turbo

WYSOKA JAKOŚĆ

**Mebłe biurowe i komputerowe
polskie i włoskie.**

Krzesła i fotele, kalkulatory
po cenach promocyjnych

- w przedsiębiorstwie zagranicznym „Danio”,
Łódź, Sienkiewicza 3/5.

Tel. 33-88-17; fax 33-05-78; tlx 884221

**Firma
„Maria-Deniz” – „Öz Varol”**

Zaprasza

**do Turcji w każdą sobotę
Atrakcyjne wczasy
nad Morzem Egejskim**

Ceny konkurencyjne
Tel. 33-44-30, 88-11-58



Uwaga hurtownicy i detaliści

Duńskie naturalne syropy
„BONANZA” w różnych smakach:
kiwi, mango, ananas, malina w
efektywnych kartonikach 1 l syropu
na 4 l napoju. Preferowane przez
Sanepid – atest.

Bezpośredni i wyłączny importer
Firma „EAST-WEST”,
tel. 78-38-65, tlx 884157, fax 740221.
Magazyn – Łódź, ul. Uprawnia 5,
czynny 8-20, tel. 55-80-63,
56-06-15 lub 32-73-50.

HURTOWNIA EXPORT-IMPORT



Łódź
ul. Rzgowska 2a

tel. 84-52-26,
81-50-93

POLECA:

1. *Odzież (bluzki, swetry, skarpety)*
2. *Zabawki*
3. *Wózki z pozytywkami – 2 rodzaje*
4. *Papier ozdobny (folia)*
5. *Bizuterię*
6. *Dzianiny krajowe*
7. *Inne wyroby z:*

Korei, Chin, Turcji, RFN, Szwecji

Zapraszamy w godz. 8.00-18.00

**Życzymy
udanych zakupów**

STAWIAMY NA JAKOŚĆ

Mikrokomputery Pc 286, 386, 486, dyskiety HD

**Dla koneserów oryginalne płyty 386 INTEL'a
ceny promocyjne**

Drukarki SEIKOSHA, STAR, HEWLETT PACKARD

Instalacja sieci NOVELL. Oprogramowanie

Listwy przeciwzakłóceniami 10 Amp, 5 gniazd – 250.000,-zł

Świadczymy kwartalne konserwacje sprzętu minikomputerowego.

P.Z. „RODAN”, ŁÓDŹ, ul. Szparagowa 6/8, tel. 52-40-68,

tel. i fax 52-10-07 tlx 886103 rodan pl.

PRAWDZIWIY DOM • PRAWDZIWIY DACH



**WŁOSKIE DACHÓWKI BITUMICZNE
NAJNOWSZEJ
GENERACJI**

Powiązanie najlepszych tradycji
z nowoczesną technologią:

- kolorowe • lekkie • elastyczne • szczelne
- mrozo- i ognioodporne • łatwe w montażu
- nie wymagające konserwacji

Stoiska informacyjne:

- Łódź, ul. Zamenhofa 1/3, tel. 32 66 82
- Warszawa, ul. Bartycka 26 (Salon „Budexpo”), tel. 40 46 74 w. 244
- Wrocław, ul. Oławska 2, tel. 44 46 93
- Kraków, ul. Mickiewicza 31, tel. 33 66 84

Ponadto oferujemy:

- okna dachowe obrotowe • wentylatory dachowe • płyty dachowe
- ocieplające • sklejki wodoodporne • folię izolacyjną • wykładziny gumowe
- (garażowe, tarasowe) • wykładziny dywanowe • armaturę łazienkową

oraz uniwersalne kioski handlowe

- wykonywanie dachów wentylowanych i renowację dachów płaskich

Montaż
układanie



10 lat
gwarancji

90-430 ŁÓDŹ-POLAND – Zamenhofa 1/3 str.
phone 32 66 82 fax 37 29 94 tlx 884479



**Zakłady Przemysłu
Pończosznego
„SANDRA”**

Aleksandrów Łódzki
ul. Piotrkowska 10/12
tel. 12-10-30, 12-17-24,
52-22-17

oferują do sprzedaży:

- w szerokiej gamie wzorniczo-kolorystycznej
- skarpety • podkolanówki • rajstopy
- z bawełny, anilany, elastilu.

ZAPRASZAMY do zakupów w sieci własnej:

Aleksandrów, ul. Piotrkowska 10/12
ul. Wojska Polskiego 64, tel. 12-17-27
KUTNO, al. ZHP 8
KOŚCIAN, ul. Wrocławska 3a
POGORZELICA k. Trzebiatowa woj. szczecińskie
– OWS „SANDRA”

**POZNAŃ, ul. Piątkowska tel. 23-87-23
TORUŃ, ul. Fałata 35/37**

POSZUKUJEMY:

- ★ **lokali na sklepy firmowe o pow. do 80 m²**
- ★ **akwizytorów**

SOBOTA

29 czerwca
PROGRAM I

07.00 „W sobotę rano” – magazyn inform.-gospod.
07.45 Tydzień na działce
08.15 „Bez przyszłości” – reportaż z PGR Turowo
08.35 „Ziarno” – program redakcji katolickiej dla dzieci
09.00 Wiadomości poranne
09.10 Teleferie – „Było sobie życie”, „Regeneracja organizmu”, „A życie toczy się dalej”
10.05 Język angielski dla dzieci
10.10 Żeglarska formuła 1 – puchar świata jachtów
10.40 „Na zdrowie” – program rekreacyjny
11.00 „Żołnierz nieznany” – wojskowy program dok.
11.25 Telewizyjny koncert życzeń
11.55 Aktualności telegazety
12.00 Wędrowki dalekie i bliskie
12.35 „Siódemka” w „Jedynce”
13.30 „Życie” – magazyn ekologiczny
14.00 Walt Disney przedstawia
15.15 „Agromarket”
15.45 „Video-top”
16.10 „Miłosz” – program dokumentalny w 80 rocznicę urodzin poety
17.15 Teleexpress
17.30 „Łoża” – magazyn teatralny
17.50 Studio sport – puchar Europy w lekkiej atletyce – Frankfurt '91
18.50 „Z kamerą wśród zwierząt”
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Co do grosza” cz. 1 – film prod. ang.
21.40 Sportowa sobota
22.00 Opole '91 – premiery

PROGRAM II

07.25 Kaliber '91 – wojskowy program publicystyczny
07.55–11.05 Telewizja śniadaniowa
11.05 Tacy sami – program w języku migowym
11.25 Dookoła świata – meksykański przekładaniec
11.55 „Z wiatrem i pod wiatr”
12.25 „Wzrockowa lista przebojów” Marka Niedzwieckiego
12.55 „Ze wszystkich stron” – reportaż Marii Dąbrowskiej
13.25 Zwierzęta świata
13.55 Studio sport – Mistrzostwa Europy w koszykówce mężczyzn
14.50 Program dnia
15.00 „Zeżem” – serial TVP
15.30 „Santa Barbara”
17.00 Ignacy Jan Paderewski – film dokument.
17.50 Dni morza
18.00 Program lokalny
18.30 Punkt widzenia – bis
19.00 Dziewczyna miesiąca
20.00 Ignacy Jan Paderewski – „Kiedy Paryż był stolicą Polski”
20.30 Koncert jubileuszowy „roku Paderewskiego” – gra Waldemar Malicki
21.00 Hale i Pace – angielski program rozrywkowy
21.30 „Panorama dnia”
21.45 Słowo na niedzielę
21.50 „Ruby i Oswald” – cz. 2 ostat. – film prod. USA
22.55 CNN

NIEDZIELA

30 czerwca
PROGRAM I

07.00 Witamy o siódmej
07.30 Kraj za miastem
08.10 Od niedzieli do niedzieli
08.55 Program dnia
09.00 Kino teleferii: „Kamień tajemniczy”
10.20 Język angielski dla dzieci
10.25 „Przygody roślin” – serial przyrodniczy prod. franc.
10.55 Notowania, czyli co się opłaca rolnikowi
11.20 Telewizyjny koncert życzeń
11.50 „Tak zwane kleryckie kompanie” – wojskowy program publ.
12.15 Magazyn „Morze”

12.35 Dla dzieci – „Tęczowy music-box”
13.20 Grot-Rowecki – film dokument.
14.20 „Pieprz i wanilia”
15.00 Telewizjer
15.20 Studio sport – Puchar świata w lekkiej atletyce Frankfurt '91
17.15 „Teleexpress”
17.35 Smak życia – program Małgorzaty Śnakowskiej
18.15 Wokół wielkiej sceny
19.00 Wieczorynka
19.30 „Wiadomości”
20.00 „Maria Curie” – (3-ost.) serial prod. polsko-franc.
21.30 Opole '91 – Mikrofon i ekran – cz. 1
23.30 Wiadomości wieczorne
23.45 Opole '91 Mikrofon i ekran – cz. 2

PROGRAM II

08.20 Film dla niesłyszących
09.50 Program dnia
10.00 CNN
10.10 Jutro poniedziałek
10.30 Program lokalny
11.00 Muzyka czy polityka – Stefan Kisielewski
11.25 Siostry M. i „Metro” rep.
11.50 Zbliżenia
12.30 Express dimanche
13.00 Polska Kronika Filmowa
13.10 „100 pytań do...”
13.50 Studio sport
14.50 „Przyłbice i kaptury” (1) serial TVP
15.50 „Polacy” – Czesław Miłosz – film dokument.
16.35 Podróże w czasie i przestrzeni
17.30 Bliżej świata
18.30 Uśmiech z Galicji
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Galeria dwójki
20.00 Śpiewa mormoński chór „Tabernaculum” (z USA)
21.00 Dni morza
21.30 Panorama dnia
21.45 „Teresa Raquin” (1) – serial prod. ang.
22.40 Poznań 1956 – film dok.
23.40 CNN

PONIEDZIAŁEK

1 lipca
PROGRAM I

16.55 Aktualności telegazety
17.00 LTV – Lato w telewizji
17.15 – Teleexpress
17.30 LTV – Lato w telewizji
18.00 „Alf” (15) – serial prod. USA
18.25 LTV – Lato w telewizji
18.45 Program publicystyczny
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr telewizji – Spektakl na bis „Drewniana miska” Edmund Morris
21.55 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej
22.35 Wiadomości wieczorne
22.50 „Alf”
23.15 BBC

PROGRAM II

16.45 Powitanie
17.00 Zwierzęta wokół nas
17.30 „Kusza” – (24 - ost.) „Odrodzenie” – serial prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd kronik filmowych
19.00 Ojczyzna-polszczyzna
19.15 Zapraszamy do „dwójki”
19.25 Roman Lasocki przedstawia – Joanna Kurkiewicz (skrzypce)
20.00 „Prawo, wyboru” – transplantacja – program W. Jakubowskiego
20.30 „Powroty” – odcinek: Verdun
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio sport
21.55 „Tan si tong” (1) serial prod. chińskiej
23.05 Studio im. A. Munka
00.05 CNN

WTOREK

2 lipca
PROGRAM I

08.00 „Dzień dobry” – poranny magazyn rozmaitości
09.00 Wiadomości poranne
09.10 Teleferie dla najmłodszych ze smokiem
09.35 Kino teleferii – „Przygody misia Ruxpina”
10.00 To się może przydać
10.25 „Matyas Sandor” – cz. 1

– dramat kostiumowy prod. węgiersko-francuskiej
11.25 Aktualności telegazety
17.00 LTV – Lato w telewizji
17.15 Teleexpress
17.30 LTV – Lato w telewizji
18.00 „Alf” – ser. prod. USA
18.25 LTV – Lato w telewizji
18.45 Program publicystyczny
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Sceny dziecięce z życia prowincji” – film prod. polsk.
22.25 Express gospodarczy
22.55 Wiadomości wieczorne
23.10 Telemuzak
23.50 „Alf” – serial prod. USA (wersja oryginalna)
00.15 BBC

PROGRAM II

07.55 Telewizja śniadaniowa
08.00 CNN
08.10 Język niemiecki
08.40 „Santa Barbara”
09.25 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 Moda i muzyka z Gdańska
17.30 Cudowne lata
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna ze Świętej Góry w Gostyniu
18.50 Studio bis
21.00 „Teatr czyli świat” – z Jerzym Bińczyckim rozmawia Andrzej Żurowski
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio sport
21.55 Prawo wyboru (2)
Transplantacja – program Włodzimierza Jakubowskiego
22.25 „Pies Baskerville’a” – film prod. ang.
23.45 CNN

ŚRODA

3 lipca
PROGRAM I

08.00 Dzień dobry – poranny magazyn rozmaitości
09.00 Wiadomości poranne
09.10 Teleferie: „Rekordy Neptuna” – teleturniej
09.35 Kino teleferii: „Safari”
10.00 Przyjemne z pożytecznym
10.25 „Dynastia”
11.15 Aktualności telegazety
17.00 LTV – Lato w telewizji
17.15 Teleexpress
17.30 LTV – Lato w telewizji
18.00 „Alf” – serial prod. USA
18.25 LTV – Lato w telewizji
18.45 Program publicystyczny
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Dynastia”
20.55 Magazyn 60/90
21.25 Zespół publicystyki „Zapis” przedstawia z cyklu „Petenci”
21.55 Program publicystyczny
22.25 Wiadomości wieczorne
22.40 „Alf” – wersja oryginalna
23.05 BBC

PROGRAM II

07.55–10.15 Telewizja śniadaniowa
07.55 Powitanie
08.00 CNN
08.10 Język niemiecki
08.40 „W labiryncie” – serial
09.40 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 „Ekostres” – magazyn ekologiczny
17.30 Cudowne lata
18.00 Program lokalny
18.30 M.A.S.H.
19.00 „Rebusy” – teleturniej Wojciecha Pijanowskiego
19.30 Śpiewa Jolanta Omilian – arie dawnych mistrzów
20.00 Księgarnia „dwójki”
20.30 Adam Harasiewicz gra utwory Fryderyka Chopina
21.00 Emigracja odrzucona – spotkanie z publicystką Radia Wolna Europa – A. Grabowska
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Dziewczyna z Mazur” (1) – serial telew. polskiej
22.50 Telewizja nocą
23.35 CNN

CZWARTEK

4 lipca
PROGRAM I

08.00 Dzień dobry – poranny magazyn rozmaitości

09.00 Wiadomości poranne
09.10 Kino teleferii: „Janka”
10.10 „Sto lat” – Magazyn ubezpieczeń społecznych
10.20 „Giełda pracy, giełda szans”
10.40 „Bergerac” – (6) serial kryminalny prod. ang.
11.30 Aktualności telegazety
17.00 LTV – Lato w telewizji
17.15 Teleexpress
17.30 LTV – Lato w telewizji
18.00 „Alf” – serial prod. USA
18.25 LTV – Lato w telewizji
18.50 Magazyn katolicki
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Bergerac” (6) – serial kryminalny prod. ang.
21.00 Pegaz
21.30 Sprawa dla reportera
22.10 Wiadomości wieczorne
22.25 Film dokumentalny
22.55 „Alf” – wersja oryginalna
23.20 BBC

PROGRAM II

07.55–10.15 Telewizja śniadaniowa
07.55 Powitanie
08.00 CNN
08.10 Język angielski
08.40 Santa Barbara
09.25 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 Giełda – magazyn kupców i przemysłowców
17.30 „Cudowne lata”
18.00 Program lokalny
18.30 „Pod wspólnym dachem” (1) – serial prod. francuskiej
19.00 Magazyn „102” – Maciej Prus
19.30 „Z ziemi polskiej” – film dokumentalny
20.00 Studio sport – o sportach motorowych
21.00 Express reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „James Stewart – cudowne życie” – film dokument. produkcji USA
23.20 CNN

PIĄTEK

5 lipca
PROGRAM I

08.00 Dzień dobry – poranny magazyn rozmaitości
09.00 Wiadomości poranne
09.10 Teleferie – „Muzyczna krzyżówka” – film z serii „Heman”
10.00 Szkoła dla rodziców
10.25 „Janosik” – (1) serial TVP
11.15 Aktualności telegazety
17.00 LTV – Lato w telewizji
17.15 Teleexpress
17.30 LTV – Lato w telewizji
18.00 „Alf” – serial prod. USA
18.25 LTV – Lato w telewizji
19.00 Od kapitału do kapitału
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Miasteczko Twin Peaks” – serial produkcji USA
21.00 Weekend w „Jedynce”
21.10 Zespół „Zapis” przedstawia...
21.50 Opole '91 Turniej kabaretów – cz. 1
22.50 Wiadomości wieczorne
23.05 „Siódemka” w „Jedynce” – francuski program satelitarny
00.05 „Alf” – wersja oryginalna
00.30 BBC

PROGRAM II

07.55 Telewizja śniadaniowa
07.55 Powitanie
08.00 CNN
08.10 Język angielski
08.40 „W labiryncie”
09.40 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 Opowieść o mieście – reportaż z Gdańska
17.30 Cudowne lata
18.00–21.30 Program regionalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Lekarze bez fartuchów” (7 - ost.) – serial produkcji angielskiej
22.45 Legendy filmu
23.40 CNN

Fabryczny
Punkt
Sprzedaży

Łódź, ul. Wieniawskiego 70a,
tel. 48-73-84
prowadzi
sprzedaż samochodów
FIAT 126 p

**Sprzedaż na raty
w miesiącu czerwcu
OKAZJA!**



AUTO SERWIS

MAREDI MB SC

zaprasza do swoich zakładów

Zakład nr 1

Łódź, ul. Strykowska 33/43
tel. 55-56-55

- Naprawy Fiat 126p (autoryzacja)
- Blacharstwo
- Lakiernictwo
- Diagnostyka
- Przeglądy rejestracyjne

Zakład nr 2

Łódź, ul. Wieniawskiego 70a
tel. 48-73-84

- PROWADZI SPRZEDAŻ SAMOCHODÓW FSM – Fiat 126p
- SPRZEDAŻ RATALNA W MIESIĄCU CZERWCU
- Sprzedaż części zamiennych Fiat 126p
- Myjnia samochodów

Hurtownia Artykułów Spożywczych

„JAM”

Łódź, ul. Wólczańska 143
tłx 885573 tel. 36-78-63
tel. po godz. 21⁰⁰ 72-89-09

oferuje

z bezpośredniego importu w sprzedaży hurtowej:

- 🍏 owoce
- 🥕 warzywa
- 🥛 przetwory
- 🍷 artykuły spożywcze
- 🍰 wyroby cukiernicze

Łódzkie Biuro Ogłoszeń i Reklamy „Epoka”
przyjmuje ogłoszenia do
„ODGŁOSÓW”

oferuje także reklamę prasową
w następujących tytułach:
Kurier Polski, Rzemieślnik, Gazeta Targowa, Gazeta Aukcyjna, Witryna Gospodarcza, Informator Turystyczny, Sukces.



● Telewizyjne „Wiadomości” poinformowały w środę (19.06) a „Express Ilustrowany” potwierdził w czwartek (20.06), że na Chojnach ma powstać autentyczny, średniowieczny pregiery. Powstaje tam oddział samoobrony, który złapanych złoczyńców będzie przykuwał do pregiery, a po 2-3 godzinach przekazywał policji. Tegoż dnia w „Radioranku” pewien pan wystąpił z krytyką takiego pomysłu. W obronie pregiery wystąpiło wiele pań. Wydaje nam się, że zmierzamy nie tyle ku Europie, co ku średniowieczu. A skoro tak, to pozwalamy sobie przypomnieć, że osoby będące pod pregierym, były tłumnie opluwane. Złodziejom w średniowieczu ucinano ręce, a złapanie czarownicy kapano w gorącym oleju lub pławiono w rzece. Która takiej próby nie przetrzymała, była uznana za niewinną. Przypomnienie to dedykujemy obrońcom pregiery!

● Na Krajowej Konferencji Komitetów Obywatelskich rozpowszechniano ulotkę: „Ofensywa sił postkomunistycznych”, w której zawarto wyniki analizy sytuacji politycznej w Polsce. Zarzucono między innymi ministrowi Henrykowi Majewskiemu, że broni byłych esbeków, bo nie chce ujawnić list współpracowników MSW. Czujni szperacze wykryli, że w MSW gdzieś za kotarą wisi portret Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Ot, ciekawostka!

● Wojewoda kaliski, który wslawił się walką z pornografią i erotyzmem w swoim województwie, teraz zasłynął na cały kraj nową inicjatywą. Postanowił zlikwidować grzechonośne sexshopy, a jako rekompensatę dla znikającej ludności województwa kaliskiego podwoić liczbę sklepów monopolowych. Nie wiemy co lepsze: popaść w nałogowo uprawianą miłość, czy w chorobę alkoholową?

● Niedawno pisaliśmy w „Odglasach” o aferze łapówkowej w Delegaturze Urzędu Miasta w Śródmieściu. Nie mamy nowych informacji, gdyż prokurator prowadzący śledztwo wyjechał na urlop.

● Na niedawnej sesji Rady Miejskiej toczył się zacięty spór o nazwy i patronów łódzkich ulic. Teraz spór ten przenosił się na łamy „Expressu Ilustrowanego”. Radny Lucjan Muszyński wystąpił z listem, w którym między innymi pisze: „Biorąc pod uwagę poglądy p. Matuszaka odnośnie do biografii świętego, stwierdziłem, że Kubuś Puchatek, aczkolwiek zmyślony, zasługiwał, zdaniem p. radnego na uczynienie go patronem ulicy, to jest oczywiste, że tym bardziej może wystąpić w roli patrona św. Jerzy – postać o wyższej wartości (bez względu na to, czy p. radny wierzy w jego autentyczność, czy nie)”. W Łodzi jest dużo ulic. „Głos Poranny” informuje, że każdy dzień ma swego świętego. Każdy z nich może być patronem ulicy. Ale są jeszcze: Sierotka Marysia, Królowa Śnieżka, Siedmiu Krasnoludków, Głupi Jas, Waligóra i Wyrwidąb i to pozwala nam mieć nadzieję, że spory w Radzie Miejskiej mogą trwać całymi latami. Tym bardziej, że nie ma urzędowego, którym można byłoby zmierzyć „wyższą wartość” patrona.

● Nasz nieoceniony współpracownik ZJM nadesłał kolejny wierszowany komentarz do wydarzeń.

„Sejm rozważał projekt ustaw, który emerytom równać chce emerytury. Jako motto, głos za grubszą słysz, Wszyscy żeśmy równi są – towarzysze!”

● „Będą tanie kredyty” – donosi z radością „Gazeta Łódzka”. Czytamy z nadzieją, choć kapitalistami nie jesteśmy. Ale w trakcie czytania okazuje się, że: „Nieznane jest jeszcze oprocentowanie. Wiadomo tylko, że nie będą to tanie kredyty”. I bardzo dobrze! W taki sposób rozwija się intelekt kapitalistów: wiedzą, że nie nie wiedzą.

● Niezawodny Janusz Korwin Mikke zaproponował sprzedaż Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz rozpoznanie urzędników. Pomysł dobry, tylko kto to kupi?

● Po „modelowej” likwidacji przedszkoli, mamy teraz „modelową” likwidację szkoły nr 193. Podobnie, jak poprzednio, nie zapytano rodziców o zdanie, a dzieci mechanicznie przeniesiono do szkoły po przeciwnej stronie ruchliwej ulicy Przybyszewskiego. Byłoby wskazane, gdyby nikt nie na tych „modelowych rozwiązaniach” nie wzorował.

● Był bal. W Muzeum Historii Miasta Łodzi, czyli w dawnym pałacu Izraela K. Poznńskiego, na wytwornym garden party dla kapitalistów serwowano: w ramach „kuchni polowej” prosiaki z rożna, szaszłyki z łosiosia, rumińskie kielbaski z sosami, poledwiec z rożna i płonące kabanosy. Stół angielski: całe łosiosie w galarecie, pierś z indyka przekładana musm łosiosowym, choud-froid z kurapaty, rolady z kurczą na zimno, pierś indyka faszerowana owocami, do tego różne sosy. Na deser: owoce południowe, ciastka, omelet królewski, lody „Carmen” i „Melba”. Wszystkie te smakołyki gościom zawiązywały szefowi kuchni w „Grand Hotelu” – Mirosławowi Morawskiemu.

● Tadeusz Drożdża opowiadał na „Kieckim Pikniku”, że tylko dlatego nie został rzecznikiem rządu, gdyż nie było go w domu. Po powrocie zadzwonił, gdzie trzeba i dowiedział się, że miejsce już zajęte. Ktoś inny był pod telefonem.

B. M.

CZYTELNICY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Sięgam po wyłącznik, zatykam uszy

Szanowna Redakcjo!

Przez ciekawość sięgnęłam po „Odglas”, czytałam je jeszcze jako uczennica, przed maturą. Akurat powstała „Solidarność”. Jakże to były piękne, romantyczne czasy, ciężko było, koleżki, puste półki sklepowe, ale chciało się żyć! Istniała nadzieja. Całym sercem byłam przeciwko różnym Koperskim i Czechowiczom, jak ja szczerze nienawidziłam tych ludzi.

W stanie wojennym chciało mi się wyć: znów zabrano mi nadzieję. Nie czytałam was wtedy, a nawet nienawidziłam jako utrwalać starego porządku. Wychodziłście sobie, jak gdyby nigdy nic, a Słowik i Kropiwnicki cierpieli w więzieniach.

Nie mam jeszcze trzydziestu lat, ale widocznie jestem bardzo stara. I trochę zwariowana. I stało się ze mną coś takiego, że teraz zaczynam nienawidzić Słowików i Kropiwnickich. Nawet za te ich cierpienia, które mi kazały angażować się w stan wojenny po ich stronie. Bo po co było to wszystko! Zebym teraz musiała się przyglądać w łódzkiej telewizji panu Palce albo panu Niesiołowskiemu. Pewnie oni, biedacy, też cierpieli w stanie wojennym. Cóż, widocznie cierpienie nie zawsze uszlachetnia. Albo szlachetność nie udziela się przez ekran. Na widok wodnistych oczu prezydenta Palki ręka sama wyciąga mi się do wyłącznika. Kiedy słyszę posła Niesiołowskiego, zatykam uszy. Wstydzi się. Jak to możliwe, że zaufałam takim ludziom.

W „Odglasach” jak w 1981 r. znów czytam o kryzysie: padają jedna po drugiej fabryki, ludzie idą na bruk. W telewizorze słyszę puste słowa, mają taką samą wartość jak za komunistów puste pieniądze. Zresztą pieniądze też są ważne: niedawno dostałam z parafii wezwanie. Tak to chyba trzeba nazwać, choć nazywa się pięknie i górnolotnie: matka chrzestna dzwoni. Trzeba po prostu bulić przez cały rok. Bałam się odmówić. Mielimy być we własnym domu, a coraz częściej czuję się jakbym była w kościele. Ale to świątynia bez Boga. Bóg jest gdzieś daleko, wypędzony przez tę całą celebry, pozory, wieczne wymachiwanie kropidlami.

Chcą przekreślić linię moralną!

Stanowisko Koła Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w redakcji „Głosu Porannego”.

Oświadczanie grupy dziennikarzy „Głosu Porannego” wsparte podpisami pracowników administracji, żądające odwołania red. Gustawa Romanowskiego z funkcji naczelnego redaktora jest kolejną próbą odwetu tych, którzy nie tylko myśleniem, ale i korzeniami ideowymi tkwią w dawnym „Głosie Robotniczym”. Wzmocnili ich wypróbowani i sprawdzeni w różnych funkcjach, rolach i miejscach dziennikarze z „Expressu Ilustrowanego” i „Dziennika Łódzkiego”, którzy w okresie stanu wojennego zostali przeniesieni do „Głosu Robotniczego” w uznaniu ich zasług dla ówczesnej władzy. To oni stanowili wtedy zwarty kolektyw, to oni najlepiej ubezpieczali linię partii po wprowadzeniu stanu wojennego. To właśnie im tak trudno pogodzić się dziś ze stanem, jaki zaistniał w Polsce po wyborach w czerwcu 1989 roku.

Kiedy nowy Sejm podjął decyzję o likwidacji RSW – Komisja Likwidacyjna w pierwszej fazie swego działania przeprowadziła wiele zmian kadrowych w prasie należącej do byłego partyjnego koncernu. Tak stało się i w Łodzi. Po rezygnacji A. Hampla z funkcji naczelnego redaktora – przewodniczący Komisji w Warszawie powołał na jego miejsce red. Gustawa Romanowskiego. Przypomnijmy, że red. Romanowski został wybrany w stan wojenny na pracę i pozabawiony prawa wykonywania tego zawodu przez komisję weryfikacyjną. Przywrócony do pracy przez Sąd Pracy nie został do niej dopuszczony na skutek zbiorowego sprzeciwu podjętego przez organizację partyjną w „Głosie” w 1982 r. Zarówno pod drakońskim „wyrokiem” komisji weryfikacyjnej jak i uchwałą odmawiającą wykonania prawomocnego wyroku sądowego figurują te same nazwiska, które znajdują się pod obecnym „Oświadczeniem” dziennikarzy „Głosu Porannego” z dnia 13 czerwca 1991 r.!

Ci sami dziennikarze próbowali także w sierpniu ub. roku organizować sprzeciw po powołaniu Gustawa Romanowskiego na redaktora naczelnego „Głosu”. Dążąc teraz w kolejnym ataku do jego odwołania, chcą przekreślić linię moralną gazety, z takim trudem budowaną przez obecnego redaktora naczelnego, linię, którą tak życzliwie przyjmują nasi czytelnicy.

„Oświadczenie” jest dowodem, że ci, którzy je podpisali niczego nie rozumieli. A może jednak rozumieli? Przede wszystkim to, że ich

Tracę sens wszystkiego, boję się zwierzyć ze swych myśli nawet własnemu mężowi. On głosiwał na Mazowieckiego, ja na Wałęsę. Teraz żaluję. Pewnie Mazowiecki byłby lepszy jako prezydent, ale w sumie co by to zmieniło. Nawet Ojciec Święty wydał mi się inny. Nie było w nim już tej słodyczy i dobroci. Pokrzykiwał! Pouczał!

Boże, co się właściwie stało? Kto mi to potrafi wszystko wytłumaczyć?

Jak ja mam to wszystko wytłumaczyć dzieciom? Są jeszcze małe, ale już zaczynają stawiać trudne pytania. A ja sama coraz mniej rozumiem z tego świata. Wala się fabryki – to jeszcze potrafię przeboleć. Wali się mój system wartości – to boli naprawdę.

Czuję, że znów odebrano mi nadzieję. Nie komuchy to zrobiły, tylko moi. Ci, których popierałam, którym zawierzyłam. Teraz będę bojkotować wybory jak w stanie wojennym. Nie chcę przykładać ręki do tego wszystkiego, co stanie się w naszym kraju, kiedy nadgorliwcy przeprowadzą w parlamencie swoje ustawy wymierzone przeciwko kobietom. Ja sobie poradzę, jesteśmy dość zamożni, mamy nowy zachodni samochód, segment. Mąż jest człowiekiem postępowym, chociaż to ja muszę zabezpieczać się przed ciążą. Widzę w jego oczach ciłą satysfakcję, gdy rzucam na tacę w kościele 1000 zł. Stać nas na sto razy więcej, ale nie robimy tego świadomie – ksiądz powinien być bliżej ludzi, a Bóg nam wybaczy to skąpstwo, bo przekazaliśmy sporą sumkę na fundusz Jacka Kuronia. Pan Bóg pewnie woli, aby nasze pieniądze naprawdę służyły biednym.

Zauważyłam, że w tych nowych „Odglasach” piszecie znacznie więcej prawdy niż inne łódzkie gazety, ale dlaczego nie piszecie całej prawdy. Kto wam przeszkadza? Czego się boicie? Chciałabym widzieć więcej odważnych materiałów. Dlaczego nie napiszecie jak służyłyby wódem miasta podobno nasza rada miejska? I czym się na co dzień zajmują panowie rajcy?

Wiem, że mój list na nic się wam nie przyda, ale musiałam odebrać. Teraz mi trochę lżej. Wybaczcie.

Nazwisko i adres wyłącznie do wiadomości redaktora naczelnego.

Jerzy Urban zaprasza

W dniu 6 lipca (niedziela) w Teatrze Muzycznym, ul. Północna 47/51 o godzinie 17.00 odbędzie się niecodzienna impreza pod patronatem „Odglasów”. Nosi ona tytuł „Jerzy Urban NIE tylko o sobie”. Zapraszamy wszystkich zwolenników i antagonistów Jerzego Urbana. Będzie okazja do rozmowy, zadawania pytań, wygłaszania sądów. Spotkanie to będzie jednocześnie zebraniem założycielskim Fan-Clubu tygodnika „NIE”.

Jerzy Urban będzie podpisywał ostatnie 300 egzemplarzy swojego „Alfabetu”. W specjalnie na tę okazję zorganizowanym stoisku będą sprzedawane koszulki, szorty, plakaty, tygodnik, znaczki – wszystko spod znaku „NIE”. Gość pragnie zaznaczyć, że spotkanie z tożdanami jest dla niego czystą przyjemnością i z tego powodu rzeka się honorarium.

Podsumowując: gwarantujemy, że nie będzie nudno.

Bilety na spotkanie w Centrum Informacji Kulturalnej, ul. Zamenhofa 1/5.

Pytania do A. Kaszpirowskiego

– na wyłączność „Odglasów”



– Czy pana siła może szkodzić?

– Wszystko na świecie może szkodzić. Magnetofonem można rozbić komuś głowę. Krzesło też może służyć różnym celom: jak się je podpali, będzie ciepło, a jak się nim kogoś uderzy, będzie bolało. Jeśli jednak prawidłowo je używać, będzie z tego korzyść. Jeśli mówiłbym w telewizji, że będzie wam źle, straszylbym was, opowiadał o jakichś okropieństwach – byłoby to niekorzystne. Ale ja przez cały czas daję dobre przykłady, a to jest zaraźliwe i wtedy ludzie zdrowieją. W moim działaniu nie może być więc nic złego. A tak w ogóle, to psychoterapia jest najbardziej humanitarną gałęzią medycyny, jeśli to jest jeszcze medycyna. Bo nierzaczynam myśleć, że to jest coś więcej niż medycyna. Tym bardziej więc nie może nieść ze sobą niczego złego.

– Czy pomaga pan również, gdy ogląda się pana na video?

– Oczywiście, tak.

– Czy można na pana podziwiać?

– Oczywiście. Na mnie bardzo wielu działa. Uważam siebie za bardzo wrażliwego człowieka. Łatwego do zranienia. Gdybym był chłodny, taki, który nie chce czy nie może zrozumieć innych, nie byłbym tym, kim jestem.

– Moja siostra, kiedy obejrzała pana w telewizji, dostała dziwnych drgawek, które trwały do tej pory. Nie pomógł jej nawet bezpośredni udział w pańskim seansie w Łodzi. Lekarze nie wiedzą, co robić. Czy może pan jej pomóc?

– To jest tak: zdarzyło się, że po deszczu jakiś człowiek dostał biegunki. Nie można jednak twierdzić, że deszcz był tego przyczyną. Po prostu zbieg okoliczności. Jeśli miliony ludzi prawidłowo reagują, a jeden z jakiegoś powodu zareagował inaczej, nie można z tego wyciągać nieprawidłowych wniosków. Przyczyny mogą tkwić w nas samych.

– Czy może pan powiedzieć jakie choroby pan leczy i czy są takie, z którymi nie potrafi sobie pan poradzić?

– Daję trzy odpowiedzi na jedno pytanie: leczy się wszystko, ale nie wszystko; leczy się wszyscy, ale nie wszyscy; nie ma takiego konia, którego nie można dosiąść, ale jednocześnie nie ma takiego jeźdźcy, którego koń nie mógłby zrzucić. Nie ma chorób nieuleczalnych, ale są pacjenci nie do uleczenia.

P.S. Korespondencje do dr A. Kaszpirowskiego prosimy nadsyłać pod adresem redakcji. Wśród nadsyłających listy co tydzień rozlosowana będzie kaseta z nagraniem seansu doktora. Prosimy o dokładne podawanie adresu!

Podpisali: Marian Papis, Tomasz Soldenhoff, Jadwiga Rybicka, Urszula Imielińska, Maria Kazimierska, Jadwiga Wasiak-Michalska.

Jedno danie Anny-Marii

Przysła do mnie znajoma. Z pretensjami o „Jedno danie”. Że nie innego w tym felietonie nie robię, tylko furt pokazuję „prozę życia”. Tak się dokładnie wyraziła: Zrozum, Anno-Mario, człowiek ma tej przeklętej prozy życia po dziurki w nosie. Nawet nocami bezsennością go przesładuje. „Odgłosy” to ja zaczęłam kupować, mimo ich wygórowanej ceny, mając nadzieję, że ty ze swoim poczuciem humoru w tym „Jednym danu” będziesz wstawiała jakieś rozczesujące kawałki. Niechby nawet i w stylu Riko i Koko. Pamiętaj, jak wylaczaliśmy telewizor, kiedy Riko i Koko produkowali się w programach dla mas pracujących? Oj, ta komuna potrafiła ludzi rozczeszać, a teraz? Zawsza ponura rzeczywistość skrzeczy.

Pogmerała w torebce. Wyciągnęła paczkę klubowych. Zmiekczając klubaskę w palcach ciągnęła: Albo Tadeusz Chyla, pamiętasz? „cysorz to ma klawe życie...”, i śpiewał, chociaż to takie było aluzyjne. Mogłabyś też pod Grześkowiaka. Pamiętasz, jak rzaliśmy, że chłop żywemu nie przepuści?

Zapaliła wreszcie tego papierosa. Tego pysznie cuchnącego klubaska. Zakasłałam ją. Rozkaszła się ona.

– *Matko święta* – powiedziałam, podsuwając jej swoje „areski” – *Dlaczego ty palisz takie świństwo? Kiedyś paliłaś carmeny.*

Łypnęła złym okiem: Kiedyś, Anno-Mario, to my byśmy pięknie i młode. Kiedyś także, Anno-Mario, ja i mój mąż zarabialiśmy ma utrzymanie jednego domu, a teraz musimy zarabiać na dwa – zaciągnęła się raz po raz, a rozkaszła się tak, że aż mnie zadrapało w gardle. Poczulałam się głupio: bo faktycznie – co za jakieś kretyńskie przywiązanie do tego wrednego okolicznika czasu „kiedyś”? Tylko on człowiekowi mąci pod czaszką, a jak stresuje! Widać zresztą, że nie tylko mnie mąci, skoro dopiero wczoraj sam premier Bielecki wygłosił na jego temat przemówienie do narodu, zaczynające się od słów Szanowni Państwo. Wcale bym nie wiedziała, że wygłasza, ponieważ

rzadko oglądam telewizję, lecz moja sąsiadka, która zna mój telewizyjny wydzwoniła telefonem: Anno-Mario! Bielecki przemawia poza programem! Pewno coś się stanie, może te dekrety, albo jeszcze coś gorszego! No, to ja biegiem do telewizorki, a tam rzeczywiście premier! I mówi, że pamięć narodu jest selektywna, wybiera z przeszłości jedynie fragmentaryczne i tylko te upiękzone kawałki, jak na

„Śmiech, szczerze królestwo człowieka”

przykład, że nie było bezrobocia, ale odrzuca niewygodne dla pamięci obrazki długich kolejek i słabej złotówki, której każdy miał pełno po kieszeniach, za to w sklepach nie było towarów. Teraz złotówka jest mocna, wewnątrzmiennalnia przy stabilnym kursie dolara, w sklepach towarów po pachy, a że w kieszeniach nie ma? – to proste: bo jakby było w kieszeniach, to by się znowu towary wykupiło, i od nowa nakręciło nową spiralę inflacji. Serce mi stukało nerwowo, gdy tak słuchałam naszego premiera, który przed kamerami do całego narodu niezapowiedzianie, zupełnie tak samo, jak kiedyś... O, nie, stop! Stop! Anno-Mario! bo się sama osobiście wpuszcisz w politycznie podejrzaną malinę przez te swoje całkiem nie na miejscu i nie na czasie skojarzenia. Ha, więc ni-niejszym oświadczam, że zdecydowanie skreśliam ze swego słownictwa okolicznik czasu „kiedyś”, i odtąd będę wyłącznie korzystała z optymistycznego nader okolicznika „teraz”.

– *Bo teraz, Anno-Mario* – wpadła mi w myśl znajoma – *jeśli pamiętasz, w związku z mieszkaniem Anki, które dostała przed pół rokiem...*

Pewno, że pamiętam. Dostała je razem z rachunkiem, że musi wyrównać niedopłatę w wysokości osiemnastu baniek. Bo jak niedopłaty nie wyrówna, to spółdzielnia odda mieszkanie takiemu, co jej dokona. A córka znajomej, Anka, pani magister biologii od trzech lat pra-

cująca w szkole, zarabia milion i niecałe sto tysięcy. Jej mąż, lekarz, stażysta zarabia...oj, lepiej ominąć ten wstydlivy problem wysokości zarobków lekarza na stażu. Mają jednak dziecko, a teraz szykuje się im drugie. Mieszkali z moją znajomą. Na całe szczęście ona zawsze była osobą praktyczną i swoją Ankę jako nieletnią jeszcze zapisała do spółdzielni poprzez książeczkę mieszkaniową. No i już prawie cała historia o mieszkaniu, do którego trzeba było dodać malucha, żeby dokonać owej dopłaty do niedopłaty. Tego malucha znajoma akurat odebrała (bo kiedyś jako osoba praktyczna do-

konała przedpłaty) po dokonaniu do niego dopłaty akurat na trzy miesiące przed żądaniem przez spółdzielnię dopłaty, więc się za bardzo nim nie nacieszyła. Ale szczęście i przestrzeń życiowa dla córki przede wszystkim, tylko że to szczęście okazało się niepewne. Bowiem gdy mąż Anki po szpitalnym fajerancie ściany nowego mieszkania otynkował i pomalował (bo spółdzielnia oddała je w tak zwanym stanie surowym) to przyszło ponowne wezwanie do kolejnej dopłaty do dopłaty. Na dalsze osiemnaście baniek. Z klauzulą, że jeśli nie dopłaci, to... i cetera.

– *My teraz z mężem toniemy w morzu długów. Anka tonie w morzu też, że przy swojej pensji i pensji męża do końca życia nie zarobią na kupno meblów, tapczanu czy chodnika. Więc jeśli ja, Anno-Mario, wydaję od czterech tygodni na „Odgłosy” aż po trzy tysiące, to mam chyba prawo żądać za swoje pieniądze, żebyś mnie na łamach rozczesała, a nie kato-wała prozą życia. Radio wylaczam, gdy tylko w nim zaczynają gadać, telewizora nie mam, bo sprzedalam na drugą dopłatę, gazet codziennych nie kupuję, bo w nich takie same kawałki, że się żyć odcieciewa. Ale ja chcę chociaż raz na tydzień się pośmiać, cholera. Rozumiesz?*

Ba, pewno, że rozumiem, cholera. „Na całym świecie nie ma nic piękniejszego od pobudzania ludzi do śmiechu”, tak powiedział M. Achard. A taki C. Malaparte powiedział: „Za-

wsze, ilekroć człowiek się śmieje, przedłuża swoje życie”. Znowu F. Rabelais powiedział, że „śmiech – szczerze królestwo człowieka”. O! jaka ja jestem niebawale mądra. A te swoje mądrości zaczerpnęłam wprost ze ściany. Bo tam, na ścianie wisi kalendarz, z którego zapominam zrywać kartki. Właściwie po co je zrywać, skoro dzień do dnia bliźniaczko podobny? I widzę właśnie, że na moim kalendarzu czas zatrzymał się na 16 maja. Imieniny Małgorzaty, Andrzeja, Jędrzeja i Wieniysława – czytam na połówkowej kartce. I te myśli złote o śmiechu też cytam.

– *Żółte kalendarze spał* – rzuciłam więc hasło. Lecz znajoma nie załapała, cpiąc nerwowo kolejnego klubaska. Jednak w jaki sposób miała się załapać na awans żółtych kalendarzy, jeśli nie czyta gazet, nie słucha radia, nie ogląda telewizji?

– *Pamiętasz Piotra Szczepanika?* Zza smolistych oparów odparła, że i owszem, bardzo go lubiła. Zwłaszcza w duecie z Igą Cembrzyńską, gdy śpiewali na dwa głosy o kochasiu, co w siną dał.

– *To Łazuka z Cembrzyńską o kochasiu, głupia? Szczepanik śpiewał o kormoranach i kalendarzach, żeby je spalić.*

– *Aha, to ten, co tak smętnie zawodził. A czemu mi o nim opowiadasz?*

– *Bo teraz został doradcą prezydenta do spraw kultury.*

Znajoma wygasila peta. Uśmiechnęła się z namysłem, wahając, jakby zastanawiając się nad sensem tego, co usłyszała. Namarszczyła czoło. Potem roześmiała się szczerym śmiechem.

– *To pierwszy kawał, jaki słyszę od roku! Daj kartkę, Anno-Mario, muszę zapisać! Zaraz po powrocie do domu opowiem mężowi, niech się też pośmieje!*

Podyktowałam jej, a jakże. W końcu: „śmiech – to szczerze królestwo człowieka”.

A może nie?

Anna-Maria

E. L. Skalknik Z tygodnia na tydzień (6)

Wsiadła, a jakże, z wyniosłą miną obrażonej królowej perskiej, pacnęła go przez łapę, bo on od razu za kolano i dalej. Chciał ją wywieść w swoje Łagiewniki, ale nie ma głupich, jeżeli na coś jeszcze może zagrywać, na tę niewinność ukrzywdzoną. Słuchaj, powiedział, cwana jesteś, fakt. Ale ja nie lubię być szantażowany. Mogę ci płacić, zasługujesz na to. Tylko bez żadnych numerów z ciążami, dobra? Roześmiał się, cholerny wesolek. Powiedział: raz uwierzyłem. Byłem aż taki głupi, że omal się nie ożeniłem. A babce chodziło tylko o mój szmal. roześmiał się jeszcze głośnie: więc jeżeli się upierasz przy tej swojej ciąży, to ci uwierz, jak ci zobaczę w dziwnym miesiącu. Ale niby skąd miałbym mieć wtedy pewność, że to na pewno moje, malutka!

skowego. Przez ramię miał przewieszoną czerwono-granatową torbę. Na jego młodzieńczej twarzy sypał się rzadki zarost, który miał imitować brodę i nadawać młodzieńcowi powagi. Był to jednak trud daremny, gdyż wyglądał chłopaczynkowi. Młodzieniec skłonił się i zapytał:

– *Zastanę wujka?*

Starszego pana całkowicie zamurowało.

– *Niby, kogo?* – zapytał, żeby coś powiedzieć.

– *No, wujka, Domagalika. Przecież tu mieszka.*

– *A – starszy pan wreszcie zrozumiał – Heńka znaczy. Owszem, mieszka, tylko nie ma go, w pracy jest.*

– *O! – młodzieniec wyraźnie się zmartwił i*

ty poinformował żonę: – *Mamy gościa. Kto?* – zainteresowała się Józefa. – *Bolek Domagalik, kuzyn Heńka. Józefa karmiła Buba. Otarła jej buzię serwetką, wstała i poszła do kuchni obejrzeć gościa. Za nią pobiegł Damian.*

– *Kto to?* – zapytał bezceremonialnie.

– *Twój stryjeczny wujek* – poinformowała go babcia.Damian wydał wargi, popatrzył uważnie na gościa i oświadczył:

– *Ja nie chcę takiego wujka!* – Babcia szybko wycofała się z kuchni wraz z Damianem.

– *A mieszkanie?* – postanowił wziąć byka za rogi starszy pan. Bolek w pierwszej chwili nie zrozumiał. – *Co mieszkanie?* – No, gdzie będziesz mieszkał?

– *A! – rozejrzał się szybko po kuchni. – Mieszkanie. Jeszcze nie wiem. Ale chciałbym przy rodzinie. Stary, to jest ojciec obiecał, że będzie dawał walówkę, to się można przy mnie dożywić. No i prywatnie, to nie tak, jak w akademi-*

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

Rzuciła się twarzą na tapczan. Zatkala uszy. Boże, niech te ryki zza ścian ustają! Boże, jak ona tego wszystkiego nienawidziła. Całego tego przeklętego domu. Tych trzech pokoi z kuchnią w starym budownictwie. Odoru klątki schodowej. Ulicy Nawrot jak długa i szeroka.

– *Jeśli mi się nie uda, zabiję się* – powiedziała, płacząc.

* * *

Stanisław Wolski dobrał się do Markowych gazet, Józefa zajmowała się dziećmi w pokoju Anity, mógł sobie poczytać spokojnie. Miał chwilę ulubionej ciszy. Przeczytał listy pana prezydenta do Sejmu i nie mógł pojąć, o co tu chodzi? W końcu trzeba wybrać nowy sejm, nie miał wątpliwości, choć miał już dość tych wyborów i głęboko zastanawiał się, czy tym razem będzie głosował. Stary już jest, może sobie darować. Niech się młodzi meczą. Jego już te spory o władzę, te kłótnie, wymyślanie sobie, przestały interesować. Oby tylko emerytury mu nie zmniejszyły, bo z czego będzie żył. W Sejmie kłócili się, uważnie się temu przysłuchiwał, ale jakoś nie odczuł, że chcą dla niego lepiej. – Janosikowa polityka – mruczał.

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

Ucieszył się, od dawna czekał znaku od Andrzeja. Może to wreszcie on. Poczynił już pewne obserwacje i miał to i owo do zakomunikowania wnukowi. Ale Andrzej nie dawał znaku życia.

Podniósł się powoli z fotela, wziął laskę i poczłapał do przedpokoju. Otworzył drzwi i ujrzał ze zdziwieniem stojącego na klatce schodowej młodzieńca. Był to brunet więcej niż średniego wzrostu, ale nie wysoki. Miał na sobie zieloną kurtkę w ciemne plamy, typu woj-

stał się bezradny. Starszemu panu zrobiło się go żal, więc otworzył szerzej drzwi i zaprosił do środka.

– *Proszę, pójdziemy do kuchni, bo u Anity żona dzieci bawi, to nie będziemy jej przeszkadzać.*

Młodzieniec rozejrzał się po przedpokoju, rzucił szybkim spojrzeniem po ścianach kuchni i ni to stwierdzając, ni to pytając rzekł: – *Duże mieszkanie!*

– *Duże?* – zdziwił się starszy pan. – *A no, niby duże. Trzy pokoje z kuchnią, jest łazienka, ale ciasno tu i ludno.* – Pokazał młodzieńcowi krzesło przy stole. – *Proszę tu usiąść. Ciotki pana, znaczy Jadwigę też nie ma. W pracy.*

– *Bolek jestem* – powiedział młodzieniec. – *Bolek Domagalik. Proszę mi mówić po imieniu. My to chyba jak rodzina. Nie? A tu dużo mówi pan mieszka?* – zmienił temat.

– *No, ja z żoną, Jadwigą, Heniek i Joanna ich najmłodsza córka, maturę zrobiła i wybiera się na medycynę, Anita z Markiem i dwójkiem dzieci. To dużo.*

– *To dużo* – zmartwił się Bolek. – *Ja też zrobiłem maturę i wybieram się na politechnikę. Właśnie z tym tu przyjechałem.*

– *Do Łodzi?*

– *Tak, ale głównie do wujka.*

– *A co wujek ma z tym wspólnego?* – zdziwił się starszy pan.

– *No, przecież mąż Anity pracuje na politechnice. To mi chyba jakoś pomoże. Zawsze dobrze mieć kogoś takiego przy egzaminach. Podpowie, komu i ile dać. W Łasku mówią, że jak się nie da, to nie ma po co jechać.*

Starszego pana nieprzyjemnie coś poruszyło. Te pytania o mieszkanie, kto tu mieszka, ile ludzi? Postawił czajnik na gazie i powiedział: – *Napijemy się herbaty* – Zajął do pokoju Ani-

ku. Trzeba się rozejrzeć. Może wujek coś pomoże. Przecież macie tu jakieś znajomości. W dużym mieście, to nie to co w Łasku.

W wejściowych drzwiach zachrobotał klucz. Po chwili drzwi do kuchni otworzyła się i stanęła w nich Joanna. Miała na sobie duży luźny sweter i czarne spodnie.

– *Kto to?* – spytała niezbyt grzecznie, pokazując brodą siedzącego przy kuchennym stole Boleka.

– *Twój stryjeczny brat* – wyjaśnił starszy pan.

– *Kto?* – Joanna parsknęła śmiechem. – *Mój stryjeczny brat? Czekaćcie – zastanowiła się – to musi być syn wujki Władki z Pruszkowa.*

– *Zgadza się* – kiwnął głową Bolek nie przejawiając popijając herbatę.

– *Joanna jestem! Co tu robisz?*

– *Przyjechałem się rozejrzeć. Maturę zrobiłem w Łasku. Wybieram się na politechnikę. Stary, to jest przepraszam ojciec powiedział, że bym do was przyjechał, może mi wujek albo mąż Anity coś pomogą.*

– *Marek?* – Joanna znów parsknęła śmiechem. – *Ten zadufany w sobie głupek? On? On raczej zaszkodzi niż pomoże.*

Bolek posmutniał. Rzucił okiem na zegarek.

– *Nie załamuj się* – pocieszyła go Joanna. – *Poczekamy na starych, może coś poradzą. Ojciec umie z Markiem rozmawiać, może się da jakoś go namówić.*

– *No, ale ja jeszcze muszę na politechnikę, potem autobus do Łasku, potem do Pruszkowa.*

– *To nie jest ten Pruszków koło Warszawy?* – zdziwił się Bolek.

– *Skądże* – Joanna była wyraźnie rozbawiona, co się jej ostatnio rzadko zdarzało. – *To jest wieś, która leży przy drodze z Łasku do Widawy.*

Bolek wstał. Ukłonił się.

– *Dziękuję za herbatę. Kiedy mógłbym przyjechać, aby zastać wujka lub ciocię?* – pytanie skierował do Joanny.

– *Mamę zawsze po południu. Ojca w tym tygodniu też po południu, a w przyszłym z rana.*

Starszy pan najpierw zamknął drzwi za gościem, potem włożył szklankę do zlewu, potem udał się do siebie, aby dalej czytać gazety. Ale w pokoju czekała na niego Józefa z Bubą na ręku.

– *Czego chciał?* – zapytała bez wstępów. – *Mnie się nie podoba. Oczka ma takie bystre, wszędzie zagląda. Będą z nim kłopoty. Czego chciał?* – powtórzyła pytanie.

– *Żeby Heniek albo Marek pomogli przy egzaminach na politechnikę.*

– *Żeby go uczyli?* – nie pojęła, o co chodzi.

– *Nie. Żeby powiedzieli komu dać w łapę, no i żeby protekcja była. Rozumiesz?*

– *Co nie mam rozumieć? I tyle?*

– *Chyba nie.*

– *Takem myślała. Co jeszcze?*

– *Rozglądał się po mieszkaniu. Myślał chyba, że będzie tu miał stancję. Ale powiedziałem mu, ile tu ludzi mieszka i chyba wybiło to sobie z głowy.*

– *Trzeba Henkowi powiedzieć. Koniecznie. Tego nam tylko brakowało. Akurat teraz!*

Przypomniał sobie o gazetach, ruszył w kierunku fotela. Józefa podeszła z Bubą do okna. Chwilę tak stała, jakby się nad czymś głęboko namyslała, wreszcie podjęła decyzję, odwróciła się i spytała:

– *Czy ty nie widzisz, co tu się dzieje?*

Przygotował się do tego, aby usiąść w fotelu. Pytanie żony zatrzymało go w pół ruchu. Powoli wyprostował się.

– *Niby, co?*

– *Nie jest dobrze* – powiedziała, żeby jakoś zacząć – *Jadwiga i Heniek mają kłopoty, u Anity coraz gorzej. Marek rzadziej bywa w domu, coraz mniej siada przed telewizorem. Z Joanną też nie jest najlepiej. Nie chce iść na studia.*

Starszy pan tylko westchnął z rezygnacją.

– *Myślisz, że nie wiem, że tu Andrzej był u ciebie?*

– *Skąd wiesz?*

– *Dużo wiem. Szukalikowa pracuje w restauracji, ma różne znajomości, to ona widziała samochód Andrzeja pod naszym domem, ona też widziała kilka razy w restauracji Marka z jakąś kobietą. Ciekawe, skąd on bierze na to pieniądze.*

– *No tak, Andrzej był* – powiedział starszy pan z rezygnacją. – *Mówił mi o Marku. Ma tu się jeszcze zgłosić, jak będzie wiedział coś więcej.*

– *A bo to trzeba więcej? Nie dość już tego, co wiemy?*

– *Wiemy, wiemy* – zdenerwował się starszy pan. – *Ale co my im możemy pomóc? No, co?*

– *Nie wiem* – wzruszyła ramionami – *I żebyś już znał całą prawdę, to Joanna dlatego nie chce iść na studia, że jest w ciąży!*

– *Co?! – starszy pan złapał się za poręcz fotela, jakby mu nagle ziemia usunęła się spod nóg. – Joanna?...*

Cdn.

Jestem inspektor Duncan z Wydziału Zabójstw. Mój kolega to detektyw sierżant Reekie. A kim pan jest?

– Nazywam się Crofts. Michael Crofts.

– Czy pan tu mieszka?

– Jestem na urlopie. Państwo Harley są moimi przyjaciółmi.

– Pan Harley... czy to on został zabity?

– Tak.

– Andy!

Sierżant w mundurze pojawił się w drzwiach.

– Weź pana Crofts i posiedź z nim w samochodzie. Kiedy przyjedzie doktor i ekipa kryminalistyczna, skieruj ich prosto tutaj. Czy ten chłopak dobrze się już czuje?

– To jego pierwszy raz. Już wszystko w porządku.

– Gdzie jest pani Harley? – przerwał im Crofts.

– Czy posłano po nią?

Duncan spojrzał na niego. Nie robił wrażenia szczególnie przyjaznego czy choćby tylko przyjaźnie nastawionego do Laury.

– Zadbano o nią. Jest z policjantką w „Caledonian”.

Croft nie zdołał się powstrzymać.

Włócznik (4)

– Chryste, to przecież jej mąż tu leży. Człowieku, przecież ona na pewno chciałaby być tutaj, a nie siedzieć w jakimś cholernym hotelu.

Inspektor popatrzył na niego ponuro. Sprawiał wrażenie, jakby był zły na Crofts, ale była to bezstronna, zawodowa złość, wyprowadzająca z równowagi pogarda.

– Może pani Harley już za bardzo robiła to, co chciała. Może gdyby postępowała inaczej, nie musielibyśmy się tu w ogóle fatygować.

Crofts wyczuł, że znalazł się w fatalnych kłopotach. Ale usiadł, bo już sobie przedtem – w tej samej minucie, w której odnowił znajomość z bardzo starym i bardzo bliskim towarzyszem walki.

Dziwnie. W tym pełnym goryczy momencie nie był do końca przekonany, czy myślał o beretce M 951...czy też o komandorze Edwardzie Simpsonie z Royal Navy. W stanie spoczynku...?

– Niech mi pan powie, panie Crofts – zapytał inspektor Duncan z niezbyt subtelną becermonialnością. – Czy kiedykolwiek widział już pan ten pistolet? Tę beretkę?

Kiedy doktor zakończył już swoje wstępne badania, przykryto Erica zieloną plastikową płachtą. Crofts był z tego zadowolony, miał bowiem wrażenie, że jest to jakiś nieprzypoziwite pozostać go w takiej rozkrzyżowanej, poniżającej pozycji. Tylko pole walki stanowiło wytłumaczenie, jeżeli nie usprawiedliwienie, traktowania ludzkich szczątków z lekceważeniem. Pamiętał jedno potraktowane w ten sposób zwłoki sprzed wielu lat – w Kambodży. Jakies chore dziecko wyrwane przez odłamek pocisku haubicy z nie kończącej się kolumny uciekinierów sunącej koło okopanych na pozycjach obronnych transporterów. Żaden z żołnierzy ani żaden z żółtków nie zadał sobie trudu, by przesunąć drobne ciało, i początkowo nadjeżdżający kierowcy starali się je ominąć, ale w końcu jakiś spocony żołnierz – nieostrożny, śpiący czy po prostu zupełnie obojętny, nie do końca ominął zwłoki, a potem następny... a potem jeszcze jeden, i wreszcie nikt już nie usiłował ominąć ciała. I wkrótce martwe dziecko zostało rozjechane jak jeź na autostradzie na miazgę, a w końcu nawet ta miazga została starta przez grzechoczące gasienicami transportery...

Crofts więc był zadowolony z zielonej płachty zarzuconej na Erica. Sprawiało to wrażenie, jakby rzeczywiście coś znaczyło, nakazywało pewien szacunek.

Policjanci włożyli beretkę do plastikowej torby. Było to podobne do sposobu, w jaki potraktowano Erica Harleya. Spojrzał na nią obojętnie.

– Widziałem wiele pistoletów, inspektorze. Trudno mi odpowiedzieć panu kategorycznie „nie”.

– Albo może kategorycznie „tak”, co?

Crofts wzruszył ramionami.

– Byłem żołnierzem. Żołnierzom zdarza się mieć do czynienia z różnymi rodzajami broni.

– Żołnierzem armii brytyjskiej, jak sądzę?

– Ja...zaczynałem tam. Uzyskałem stopień oficerski w wojskach desantowych.

Duncan patrzył na niego przez chwilę w zamyśleniu, a potem znowu spojrzał do notesu.

– Czy nazwa „kolumna „Delta”” kojarzy się panu z czymś, panie Crofts?

Odczytał właściwie błysk w oczach Crofts i usmiechnął się kwaśno.

– Komputer w Centralnym Archiwum jest bardzo sprawny. My mamy także bardzo szczególną organizację zwaną „Special Branch”... a tu, w holu, jest telefon.

– Więc wie pan, że jestem wojskowym wolnonajemnym specjalistą?

– Zgodnie z moimi informacjami zarówno pan, jak i denat. Wie pan, zawsze sądziłem, że wy, chłopcy, nazywaliście się najemnikami bez żadnego ślicznego dodatku. Chociaż „wolnonajemny specjalista” rzeczywiście lepiej brzmi.

– Nie zabilem Erica Harleya – powiedział Crofts.

– Trzymał pan ten pistolet, kiedy zaskoczył pana policjant.

– Nie zaskoczył mnie! Albo tylko dlatego, że w ogóle tu się zjawił. Skąd wiedział?

– Prowadzący hotel „Caledonian” doniósł o załoceniu porządku. Zanim przybył na miejsce posterunkowy Chiesh, pan to miejsce opuścił... w pościgu za panem Harleyem.

– „W pościgu”? – zapytał z goryczą Crofts. – Sposób, w jaki pan to powiedział, był niezwykle wymowny, człowieku.

– A mówiąc już o tym, co było powiedziane, to co dokładnie miał pan na myśli wołając do pani Harley, kiedy wybiegał pan z „Caledonian” – cytując świadków. „Dobry go!” – tak to brzmiało. Czy potwierdza to pan, panie Crofts?

– Chryste, nie wiem! – wybuchnął Crofts. – Byłem zły... zmartwiony. Podobnie Eric...

Przerwał gwałtownie. Przyglądali mu się uważnie – wszyscy policjanci i nawet lekarz.

– Niech pan posłucha, inspektorze. Po co miałbym zabijać Harleya? Sprzeczałyśmy się i przedtem. Jezus, wszyscy przyjaciele sprzecząją się ze sobą, a my byliśmy przyjaciółmi od wielu lat, bardzo długo walczyliśmy ramię przy ramieniu. Dzieliłymiśmy wszystko ze sobą przez wiele cholernych lat.

– Tak sobie pomyślałem – powiedział Duncan dziwnym tonem. Crofts spojrzał na niego i zamrużył.

– A co to ma znaczyć?

– Pani Laura Harley. Czy ją również dzieliłicie ze sobą przez wiele lat, panie Crofts?

I w tym momencie Crofts zrozumiał. Sądził, że wszystko stało się z powodu Laury. Myślał tak od pierwszej chwili, od momentu, kiedy przyjechali, i stąd wziął się ten wyraz pogardy w ich spojrzeniu, niewypowiedziana dezaprobata. Zebrali już zeznania świadków w „Caledonian” – od Niallsa, Groźnej Matki – wszystkich, którzy słyszeli, jak Eric otwarcie oskarżył go, że ma romans z Laurą. Podręcznikowa, klasyczna sprawa – zbrodnia z namiętności, trójkąt rozwiązany śmiercią męża.

Eric nawet został zastrzelony z jego pistoletu! Prokuratura nie sprawi szczególnych kłopotów powiązanie Crofts z beretką M 951, miał tę broń od lat. „Special Branch” z całą pewnością miała szczegółowe aktualne dane na temat jego osoby, łącznie z informacją, jaki gatunek papierosów pali.

Wrobiono go w idealny sposób. Został wciągnięty w tę sprawę z zimnym wyrachowaniem, ba, nawet dopomógł im, do diabła! Kimkolwiek byli, musieli nie posiadać się ze szczęścia widząc, jak wpakował się w sam środek sprawy o morderstwo. Elementy śladowe zostały bardzo zrecznie połączzone – Eric, Laura, Michael Crofts, kochanek doskonały. Wszystkim, czego potrzebowali, był czas i miejsce... i jeden sprawny morderca, czekający w Tarvit na okazję.

– Ale kto nim był? Na pewno nie Mearns – Harry i jego grupa siedzieli w „Caledonian”, gdy wybiegał z Erikiem, i nikt nie miał go po drodze.

A więc może Welniani Faeczi? Albo Simpson? Z całą pewnością Simpson był odpowiedzialny za jego przyjazd do Tarvit. Chociaż z drugiej strony, dlaczego, na litość boską, Simpson chciałby go zrobić w morderstwo Erica Harleya?

Michael Crofts – aresztuje się jako podejrzanego o umyślne morderstwo popełnione na osobie Erica Harleya. Udać się wraz z moimi funkcjonariuszami do Komendy Policji w Oban, gdzie możecie zostać oskarżony o przestępstwa, jakie zostały wykazane w ciągu dalszego śledztwa.

Przypuszczalnie to Simpson był odpowiedzialny za wskrzeszenie beretty M 951. Młoda para na motocyklu? Powinien mieć się wtedy na baczności. Przecież w Soho miał wrażenie, że jest śledzony.

Mike Crofts zaczął wreszcie dostrzegać prawdziwą głębię intrygi, w którą tak naiwnie się wpakował. Jeżeli jednak komandor Edward Simpson, ostentacyjnie podkreślający swój stan spoczynku oficer Marynarki Wojennej Jej Królewskiej Mości, rzeczywiście współdziałał nie tylko w planowaniu morderstwa Erica Harleya, ale również we wpłatach w tę aferę Crofts, i stanowiło to część jakiegoś potwornego, może nawet zaaprobowanego przez rząd planu? Pojawia się wtedy następne pytanie.

... na rzecz jakiego rządu działał Simpson?

Skuli mu ręce kajdankami, zanim wsadzili do białego policyjnego land rovera. Sierżant w mundurze schwył go za ramię i z idącym za nim detektywem inspektorem Duncanem zaprowadził do samochodu, przy którym czekał już, trochę zakłopotany, młody posterunkowy. Chłopak ciągle jeszcze był błądliwy. Prawdopodobnie wiele czasu upłynęło, zanim przywyknął do tej pracy.

Było też i wielu miejscowych gapiów, przede wszystkim klientów z „Caledonian”. Stali za bramą, podczas gdy drugi posterunkowy dobrodusznie tłumaczył im, że muszą się cofnąć. Wtedy Crofts przypomniał sobie nagle coś, co mogłoby mu pomóc.

Zatrzymał się gwałtownie, tak gwałtownie, że Duncan omal na niego nie wpadł. Sierżant schwył go mocno za ramię, zdecydowanie pociągając do przodu.

– Kamień! – zawołał Crofts – Wczoraj wieczorem. Ktoś próbował już wcześniej zabić Erica.

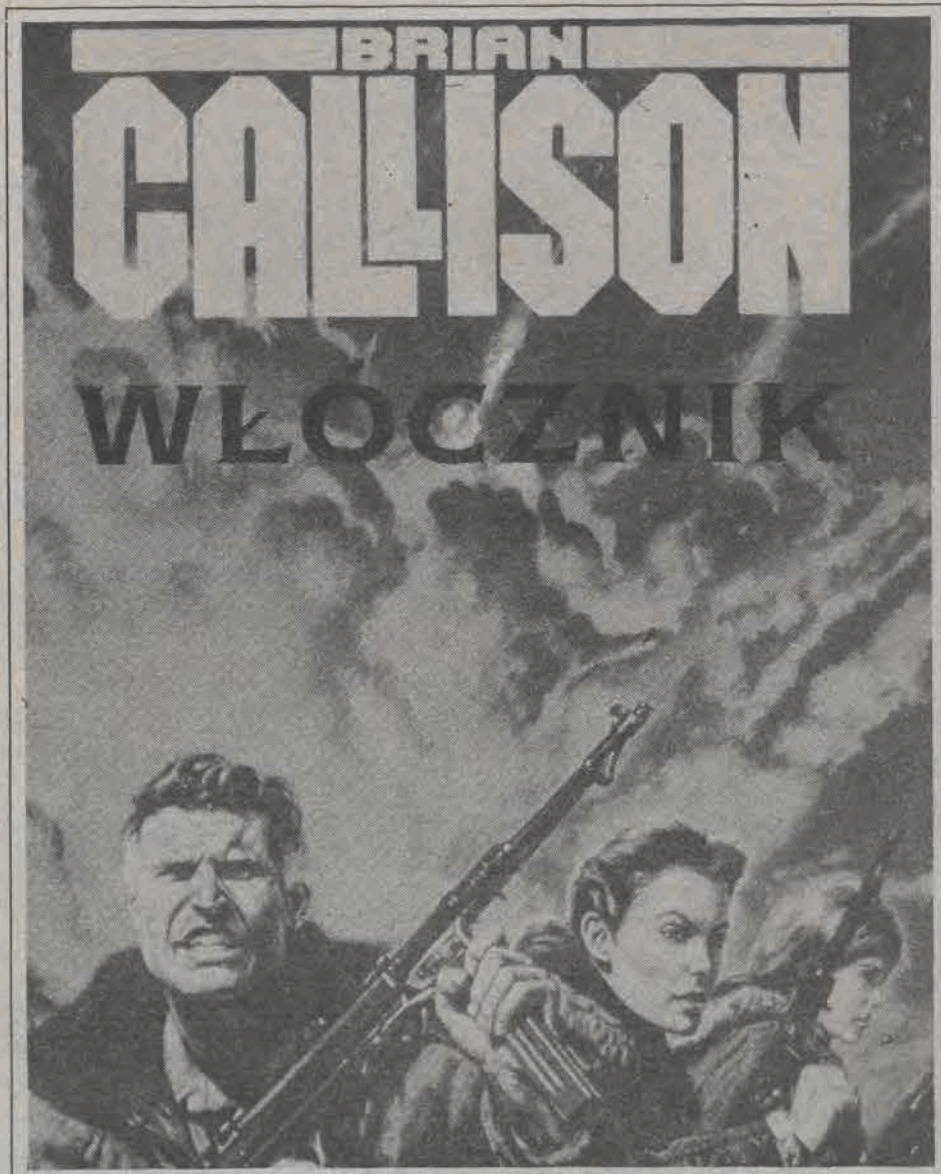
– Niech pan wsiada do wozu – polecił mu sierżant władczym tonem. – Przecież nie chce pan chyba robić sceny przed tymi wszystkimi gapiami. Będzie miał pan wystarczająco dużo czasu, żeby złożyć swoje zeznania w Oban.

– Ale przecież ten jego rover... Ten, który tam stoi, do diabła! – nalegał Crofts nie poddając się. – Sami możecie zobaczyć, że nie ma przedniej szyby.

Duncan odwrócił się i spojrzał na niego marszcząc brwi.

– Chwileczkę, Andy. A więc, Crofts, co chce pan powiedzieć o wczorajszym wieczorze i panu Harleyu?

Crofts opowiedział mu szczerym głosem o wszystkim: o Ericu, lewitującym kamieniu i rzekomym wypadku. I od razu zorientował się, że zyskał nową szansę. Duncan był dobrym policjan-



tem i natychmiast potrafił dostrzec, że istnieje wielka różnica między popełnionym po pijanemu zabójstwem w afekcie, a próbą zabójstwa z premedytacją.

Odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami mieszkańców Auchenzie podeszli do starego land rovera Erica. Crofts wskazał obydwojema skutymi rękami.

– Widzi pan? Brakuje przedniej szyby. Przecież to dowód, że istotnie Harley niedawno miał jakiś groźny wypadek.

Duncan przyjrzał mu się uważnie.

– Nawet jeżeli tak jest naprawdę, wciąż nie można wykluczyć, że właśnie pan rzucił ten kamień.

– To oznaczałoby działanie z premedytacją. Wtedy pańska teoria o pijackiej bójce w pubie z powodu pani Harley nie trzymałaby się kupy. A jeżeli rozsypie się jeden powód do podejrzenia, to przynajmniej będzie pan zmuszony do ponownego rozważenia pozostałych.

– Czy mógłby pan odnaleźć ten kamień, Crofts? Badania kryminalogiczne mogłyby potwierdzić pańską wersję.

– Harley go wyrzucił – stwierdził Crofts słabym głosem. – Do strumienia.

– Aha. – Detektyw inspektor Duncan skinął znacząco głową.

Sierżant Andy nagle przechylił się, sięgając na tył land rovera i wyciągnął coś na zewnątrz. Był to bażant. Martwy i dość pokiereszowany. Wszyscy patrzyli na niego obojętnie do chwili, gdy w jego poszarpanych piórach zobaczyli lśnienie okrutnych szkła odbijających niebieskie światła policyjnych samochodów.

– To się zdarza nie pierwszy raz – stwierdził suchy sierżant – że ptak rozbija szybę samochodu. Lecą nie gorzej niż kawał granitu.

– Wsiadaj do tego pieprzonego samochodu, Crofts – powiedział zmęczonym głosem detektyw inspektor Duncan.

Noc była ciemna. Jechali przez dziesięć, może piętnaście minut. Młody posterunkowy siedział w zakłopotanym milczeniu za kierownicą, a mundurzy sierżant Andy Jakiś tam naprzeciwko Crofts na trzęsącym się siedzeniu land rovera. Trzymał plastikowy worek z beretką M 951 – dowód rzeczowy numer jeden dla oskarżyciela. Odnosił się do swego skutego kajdankami więźnia z ponurą obojętnością. Znal go już od dawna – tych wszystkich twardej z Glasgow i miejscowych chłopaków, którzy gdy wypiją za dużo, zaczynają się robić głupio agresywni. Zetknął się także i z tymi bardziej wyrafinowanymi, takimi jak Crofts, którzy przyjeżdżali na północ z wielkimi słupkami w kieszeni, żywiąc nieuzasadnioną pogardą dla szkockiego prawa.

Kiedy jechali nadmorską drogą do Oban, Crofts nie zwracał uwagi na obu policjantów. Patrzył nieruchomo przez przednią szybę na migające w świetle reflektorów skalne ściany. Niekiedy dostrzegał skraj urwiska i czarne morze. O Boże, ależ te zachodnie rejony Szkocji są odludne. Nie oglądał jednak tego krajobrazu okiem turysty. Przede wszystkim myślał o Laurze – o jej smutku i piętne, które nosić będzie od tej pory aż do końca życia. Piętne rozpustnej wdowy, która stała się przyczyną śmierci swojego męża.

Myślał również o Pameli. Jakże to szczęście, że jest daleko w Londynie, próbując odnaleźć odpowiedzi na najpilniejsze pytania, które pojawiły się

tego popołudnia i które teraz w tak przerażający sposób straciły na znaczeniu. Już ją utracił i być może nigdy nie pozna tajemnicy do chwili, kiedy to, co było planowane, zostanie wykonane – a wtedy będzie już za późno. Już było za późno. Eric nie żył, jemu zaś groziło dożywocie, policja bowiem uznała zgromadzone dowody za wystarczające i nie będzie prowadzić dalszego śledztwa. Zwłaszcza teraz, kiedy jego informacje o rozbitej przedniej szybie samochodu Erica w jeszcze większym stopniu udowodniły, że jest kłamcą.

– Sierżancie! – zawołał nagle młody posterunkowy pochylając się do przodu i wpatrując przed siebie. – Tam, na skraju drogi, stoi jakiś facet. Wygląda na to, że miał wypadek.

Rzeczywiście. W smugach światła reflektorów widniała odległa postać oparta o głaz i wyglądająca na oszołomioną bólem. Samochód policyjny zaczął już zwalniać, gdy sierżant mruknął:

– Tak, ale nie będziemy się zatrzymywać, chyba że jest ciężko ranny. Będzie musiał poczekać na patrol drogowy, który weźmiemy przez radio.

Samotny mężczyzna nie poruszył się, nawet gdy rover zbliżył się do niego. Po prostu stał z pochyloną głową, oparty o głaz – okaz nieszczęścia w spranych eks-wojskowych drelichach i dziwnej czarnej welnianej cza...

– Jedź dalej! – wrzasnął rozpaczliwie Crofts, pobudzony do gwałtownego działania. – Człowieku, nie zatrzymuj się! Jedź dalej!

Było już jednak za późno na ostrzeżenia czy jakiegokolwiek rady, jak ma postępować jego policyjny eskort. Przez otwarte okno wsunęły się obcięte lufy dubeltówki i wbiły gwałtownie w gardło młodego policjanta. Jednocześnie dwie inne postacie pojawiły się, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, przy tylnej klapie samochodu, trzymając wysunięte przed siebie lufy hiszpańskiego Z-62 i czeskiego, a może polskiego pistoletu maszynowego, skierowane w stronę pasażerów samochodu. Crofts wciąż nie był w stu procentach pewien, jakiej produkcji jest ten drugi peem.

Tak samo jak wcześniej tego samego dnia. Kiedy po raz pierwszy zobaczył go wymierzonego w swoją pierś. Na starym lotnisku niedaleko farmy Den of Tarvit.

– Na tym kończymy druk fragmentów powieści Biana Callisona w przekładzie Sławomira Kędzierzkiego.

Wyjaśniamy jeszcze, że tytułowy „Włócznik” to kryptonim inteligentnej torpedy, przystosowanej specjalnie do zwalczania radzieckich okrętów podwodnych. O tę broń toczy się walka wywiadu brytyjskiego z wszechobylskim KGB, które chce zawładnąć tym cudem elektronicznej techniki. Podczas tego bezlitosnego pojedynku padnie wiele trupów (jedną z ofiar jest Harley) i do gry wciągnięty zostanie także wbrew swojej woli Mike Crofts.

Doświadczony najemnik z Angoli, zaprawiony w sztuce zabijania, wyjdzie z tej walki moralnym zwycięzcą. A na zwycięzców czeka zwykle nagroda: jest nią słodka Pamela Trevelyan, ekscentryczna dziewczyna zakochana w starym zabijacze.

Więcej nie wolno nam zdradzać, aby nie odbierać czytelnikom, którzy sięgną po „Włócznika”, przyjemności lektury. Książka pojawiła się właśnie w Łodzi na straganach.